Nr. 49. Poznań, dnia 6-go grudnia 1903. Rok VII.

PRACA

TYGODNIK ILLUSTROWANY.

Treść nr. 49-go.

†

Ś. p. Józef Głębocki.

Po nad tym padołem idzie jakieś grobowe tchnienie śmierci wraz z nieustannym potokiem czasu. Kładą się przed niem kwiaty i kłosy, padają drzewa, rwą się kamyki marne i potężne skały, wpatrzone w wyżyny. Co chwila nikną nam z przed oczu znajomi z mrowiska ludzkiego, pierzchają niby cienie w zaświaty, zmieceni z widowni kosą czasu, który skrycie wyciąga chciwe ramiona po nowe ofiary.

Vanitas vanitatum! Wszystko co ludzkie i ziemskie wydaje się przerażająco przejściowem, znikomem! A jakiż tłok smutnych refleksyi nawiedza nas wtedy, gdy padnie nagle w czeluście śmierci wyniosła skała, która umajona kwieciem zdała nam się pełną życia, tak niezłomną wobec nienawistnych huraganów, tak silną jak forteca i jasną jak nadzieja?....

Taka skała znikła ze śmiercią ś. p. Józefa Głębockiego ale postać jego pozostanie żywą przed oczyma dusz naszych.

Głęboki smutek malował się na twarzach na wieść o nagłej niespodziewanej a tak przedwczesnej jego śmierci. Nawet jego przeciwnicy polityczni czuli, że społeczeństwo nasze spotkał cios ogromny i niepowetowany, że śmierć zrobiła chytrze wyłom w życiu naszej dzielnicy, który doprawdy nie da się zapełnić tak łatwo. Mogli być ludzie nieprzychylni jego polityce, ale nie mogło być nikogo, który nie uszanowałby go, nie cenił wysoko. Bo „ile głów tyle pojęć“, ale przed charakterem schyla się głowa każdego. Zwłaszcza teraz, wobec majestatu śmierci cała postać zmarłego rysuje się przed nami w ogólnych konturach i świeci z oddali niby pochodnia drogiemi kamieniami swych talentów i zasług; wszyscy bez wyjątku przyznajemy z żalem, że opuścił szeregi nasze nieskazitelny mąż „z tego co to boli“, który stojąc dumnie na szańcu naszym obronnym osłaniał mężną piersią tysiące i czuł za tysiące.

* * *

W ś. p. Józefie Głębockim tracimy ogromnie wiele.

Od chwili, gdy wstąpił na arenę polityczną, ogół zrozumiał odrazu, że pozyskał w nim szermierza niepospolitej miary. Wnet bowiem dał się poznać jako mówca dzielny, przejęty głęboko swą misyą, oddany naszej sprawie całą duszą. Drgała w jego przemówieniach struna szczerych przekonań i męzkiego zapału, która instynktownie wywierała wrażenie na słuchaczy. Poważny zakrój umysłu, wysoka erudycya i znajomość rzeczy politycznych łączyła się z niepoślednią siłą słowa i mezkością tonu. A z biegiem czasu wyrósł na szermierza parlamentarnego, jakiego nie mamy w kołach polskich. Śp. Głębocki odznaczał się bowiem chlubnie od innych mówców naszych, polemicznemi zdolnościami. Pamiętamy szermierki jego z ministrami, które stanowią retorycznie świetne karty w rocznikach izb. Z rzadką subtelnością potrafił on pochwycić każdy słaby punkt w argumentacyi przeciwnika, podkreślić go ironią i sarkazmem, i wykazać jego nicość tak, iż budził Niemców z apatyi towarzyszącej polskim debatom i wyprowadzał ich często z spokoju. Trudno go będzie zastąpić!

Niemniej zasłynął jako mówca wiecowy. Charakterystyczną cechą zmarłego była znajomość psychologii ludu. Z masami wyborców i ludem polskim łączyła go jakaś tajemna nić złota. Rozumiał on jego duszę i naodwrót lud rozumiał swego niezapomnianego posła. Jakoż śp. Głębocki był ulubieńcem szerokich kół wyborczych, najpopularniejszym mówcą na wiecach, witanym i oklaskiwanym z niesłabnącym entuzyazmem. Ileż ziarn poczucia narodowego rozwiał taki mówca w narodzie? Jak niezmier-

nie musiał się on przyczynić do uświadomienia ich! Trudno go będzie zastąpić.

W wielu dziedzinach naszego życia daje się odczuć dotkliwie brak ludzi powołanych przez naturę do obowiązków, jakie włożyły na nich okoliczności. I tak w gronie posłów naszych tylko niewielu da się naliczyć polityków z krwi i kości. Tem wyraziściej zarysowywała się na tem tle postać zmarłego a szczególnej barwy nadawał jej nieugięty charakter, potężna indywidualność. Od początku do końca swej karyery poseł Głębocki był sobie wiernym. Nie podobny w niczem do akrobatów politycznych, którzy przerzucają się z jednej strony na drugą, i produkują z różnemi sztuczkami karkołomnemi, szedł on swoją drogą bez względu czy droga ta prowadzi go do czczego nieraz poklasku wpływowych czynników, szedł za głosem swych przekonań i wierzeń przez ciernie walk politycznych, — do uznania i szacunku ze strony wszystkich gorąco czujących Polaków. A umysł jego samoistny i ogarniający dalekie widnokręgi nie pozwalał mu zasklepić się w płytkich wodach stronniczych tak, iż stojąc na gruncie partyi nie zatracił nic z samodzielności, nie obniżył skali swego ducha, nie poświęcił nic z swego ja dla względów ubocznych. Trudno go będzie zastąpić.

Żal nasz po zgonie posła Głębockiego potęguje przeświadczenie, że zeszedł z świata w momencie, gdy miał wstąpić w drugą fazę swej działalności i uwydatnić w niej dopiero w całej pełni skarby swej indywidualności. Obecnie gdy posłowie barwy jego pozyskali większość w kołach naszych parlamentarnych otwierało się dla śp. posła G. nowe pole. Wierzymy, iż był on z natury powołanym do kierowania polityką polskiego grona poselskiego, do nadania jej własnego piętna, do ujęcia w swe nieskazitelne i silne dłonie całokształtu naszych spraw publicznych. Był to bowiem mąż wielkiego pokroju. Uważaliśmy go za męża przyszłości, tem boleśniej przeto pomyśleć, iż okrutna śmierć przecięła pasmo jego dni u progu najpiękniejszego okresu życia. A trudno go będzie zastąpić.

Jako człowiek zmarły miał w sobie rys katonowskiej surowości, obowiązkowości i nieugiętości. Życie jego całe przeszło w pracy wytrwałej a bezinteresownej, którą ożywiały zapał gorącego Polaka, chęć poświęcenia. Miłość Ojczyzny opromienia postać tego znakomitego syna narodu polskiego.

* * *

I tak promienisty niech pozostanie obraz jego w duszach wszystkich Polaków jako cudne zjawisko odalka, świecące przykładem, zagrzewające do poświęcenia i mężnej pracy około dobra ogółu.

Rzucamy garść ziemi polskiej na mogiłę tego znakomitego Polaka z życzeniem, aby zakwitły na niej bujnie kwiaty miłości Ojczyzny, które najpiękniejszą będą ozdobą grobu ś. p. Józefa Głębockiego.

M. R. W.

Pogrzeb
Ś. p. Józefa Głębockiego.

„Żyj tak, abyś miał piękny pogrzeb“ — rzekł pewien obywatel do syna, wstępującego w życie. Wprawdzie nie zawsze pogrzeb daje miarę znaczenia i wartości nieboszczyka, bo iluż to potężnych duchem ludzi schodziło w prochy ziemskie niepostrzeżenie, dość jednak, że żałobny pochód, który we wtorek przeciągał przez ulice Poznania, obrazował wdzięczność, uznanie ,admiracyą i żal, jakie w pozgonnej chwili gorzały w piersiach wielkopolskich dla ś. p. Józefa Głębockiego.

Miał on pogrzeb tak świetny jak świetną była postać zgasłego na naszej widowni.

Po południu ciżba poczęła oblegać kapliczkę na dziedzińcu zakładu Przemienienia Pańskiego. Wszystkie sfery miały tu swych wysłanników, a pomiędzy tłumem rozpoznać było można wielu wyborców zmarłego posła. Każdy pragnął pożegnać go, uchylić czoła przed trumną kryjącą jego ziemskie szczątki, rzucić okiem na to wyraziste oblicze, powleczone spokojem grobu, ująć raz jeszcze tę dłoń prawą i — łzą serdeczną zrosić żałobne palmy.

Niejeden może w tym momencie rozłąki na zawsze czuł w duszy wyrzut, iż w walce stronniczej dotkliwie ranił to polskie serce, co bić przestało tak nagle, i szeptał z pokorą: mea culpa....

U trumny ś. p. Józefa Głębockiego w klasztornem zaciszu zamilkły echa walk i w jednem uczuciu zestrzeliły się wszystkie serca. A nad tłumem żałobnych uczestników zawisło ołowiane

KRONIKA.

Adwent jest to taki okres czasu, w którym nie wolno tańczyć. Człowiek umartwia duszę i — chodzi na rauty.

Na raucie nikomu się nie zdaje że się bawi, ale jednym wypada prosić a tym innym wypada przybyć na zaproszenie, i w ten sposób zbiera się ludzi na pewnej niewielkiej przestrzeni, skazując ich na przepędzenie wspólne kilku długich godzin. Te kilka godzin trzeba koniecznie zabić.

Pod tym względem pani domu dokonuje prawdziwych cudów. Otóż teraz wynalazła jakąś ofiarę, i ciągnie ją do głównego salonu.

Młodzieniec pragnie się uwolnić — nie ma mowy.

Zaczerwienił się nawet w tym celu — trudno, już się nie wywinie.

Moja sąsiadka jest bardzo domyślna a przytem urocze stworzenie. Podniosła niebieskie oczy — nad wszystko lubię blondynki z błękitnemi oczyma — i mówi:

— Będzie deklamacya!

— Pani lubi deklamacyą?

Na raucie przytrzymuje się gwałtownie jaki bądź temat, aby z niego pytanie wydusić.

— To zupełnie zależne od jakości deklamacyi. —

— A ten młody Demostenes, czy pięknie deklamuje?—

— To zobaczymy — nie słyszałam go dotąd.

Młodzieniec uczynił głęboki ukłon, a z ust jego popłynął donośny głos.

Są różne kategorye młodych ludzi których się zaprasza. Dzielnych w nogach prosi się na wieczory tańcujące“, dzielnych w słowie na rauty.

Deklamacya skończona. Panie się entuzyazmują i prawią komplementy. W ogólnem poruszeniu z niejednych powiek uleciała gnębiąca senność. Panowie wysuwają się do innych pokoi, mając obawę, aby ten przykład nie wywołał więcej numerów z tego rodzaju.

Rozmowa wchodzi na temat literatury. Nasza „płeć brzydka“ nie jest zwolenniczką poezyi a od rozmowy o niej ucieka. Bądź co bądź to nie zabawa. W ferworze i zacietrzewieniu wspomni się coś od niechcenia, aby też głos zabrać o moderniście i dekadencie Asnyku, albo napomknie się cośkolwiek, ale nic obrażającego, o „Zaczarowanem kole“ Wyspiańskiego i już wielkie „halo.“

To też kiedy na raucie jest jaki półliterat jeszcze oprócz pań, wówczas lepiej nie opuszczać męskiego pokoju. Napewno będą wywłóczyć jakieś mniej lub więcej prywatne sprawy poetów, malarzy itd.

Chodźmy! — Hungaricum i rozmowa o kobietach — ich zalętach — mia

(...)dlepienie, smutne, zapłakane, pogrzebowe.

Z pod girland gałęzi, gdzie wzniesiono mównicę kirem powleczoną ozwał się głos mec. Wolińskiego, który imieniem obywatelstwa żegnał ś. p. Głębockiego. Niełatwe zadanie dla mówcy żegnać mówcę tej miary co zgasły poseł, który — jak mówił p. mec. Woliński — gdy stał na trybunie parlamentarnej, można było powiedzieć o nim słowa wieszcza Kornela Ujejskiego w skargach Jeremiego:

„Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni,
I mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni!
I okiem iskier pełnem spojrzał po narodzie,
I mniemał, że w nim duszę odbije jak w wodzie!"

Z kolei mec. Chrzanowski z ramienia posłów parlamentarnych żegnał kolegę — „męża naprawdę mezkiego serca, męzkiego ducha, męzkiego charakteru."

„Polska — mówił poseł poznański — patrząc z dala na nasze boje, odczuwając wszystkie na własnej ziemi zadawane nam rany i upokorzenia, drżąc o nas serc milionami a nadmiarem uczuć przeróżnych wzburzona oczekiwała w czasach ostatnich, nadsłuchiwała niecierpliwie od nas głosu szczerego, śmiałego, męzkiego, głosu, któryby chociaż część, choć odrobinę tych uczuć pierś naszą rozpierających, z niej wyrwanych, a w słowa zamienionych cisnął na świat tak, aby w nim rozbrzmiały... i doczekała się tego nareszcie; oto rozległy się słowa tej potężnej jego ostatniej mowy orła białego przypominającej i poszły ku Krakowowi i Warszawie, na całą tak przez niego ukochaną polską ziemię'.'

Wreszcie poseł dr. Mizerski jako kolega z ławy sejmowej podniósł kilka wybitnych momentów z karyery zmarłego i przypomniał jak to „przed trzema laty pewien młody i zdolny doradzca korony doświadczył ciężkiej ręki ś. p. Głębockiego, ponieważ z lekceważeniem odezwał się o naszym narodzie. Ś. p. Józef dał mu na miejscu taką odprawę, że zmieszany dostojnik zaledwie kilka słów słabej repliki zdołał wygłosić i usiadł wśród poważnego milczenia Izby, oblany rumieńcem zawstydzenia."

„O! jak tam odczuwać będziemy brak ust Twych wymownych, mówił poseł — z których umiałeś ciskać gromy na przeciwników ,ale zarazem i wypowiadać słowa otuchy dla swego społeczeństwa. Zawcześnie umarłeś dla świętej sprawy naszej, lecz nie zawcześnie dla własnej sławy. Bo jak pięknie powiedział Sarbiewski:

„Nad czyją trumną płaczą ziomkowie,
Ten żył dość długo na ziemi."

Potem jęknął dzwon i ruszył orszak żałobny nieskończenie długim wężem, a szły z nim zastępy osób i towarzyszyły mu żałosne spojrzenia z okien. Niemcy wyzierali na imponujący pochód, przystawali zdumieni na chodnikach. Bo któż przeliczyłby las chorągwi krepą powleczonych, które przez całą ulicę Świętomarcińską ciągnęły szlakiem? Były tam cechy, były towarzystwa, Sokoli i strzelcy wplatali się w orszak, a wieńce o wstęgach narodowych barwiły ciemną smugę kilkotysięcznych uczestników. Za gronem wyborców bieli się kilkadziesiąt komży i smutne pienie rozpływają się w powietrzu, a dalej — przysłonięty wieńcami karawan....

Mrok nad nim zapada.

Czarna fala ludzi zalewa cmentarz. Wśród cieni nocnych i nikłych światełek nad otwartą mogiłą podnosi się głos posła ks. prał. Stychla, który serdecznemi słowy sławi obrońcę kościoła i narodu, a potem hymn płynie nad mogiłami otulonemi w pomrok, dyskretny jak westchnienie, żałosny jak — pogrzeb.

Jeszcze chwila, potem zapada trumna....

Milczenie.

Jakieś głębokie milczenie, ciemne jak noc, zalzawione jak niebo grudniowe, ciężkie jak — żal nasz spoczywa na tłumach. Sylwetki rozsnuwają się, giną w ciemnicy.

Pozostaje wspomnienie złote w duszach, pozostają — ślady i owoce czynów ś. p. Józefa Głębockiego.

Ustronny.

Sprawa kryminalna
a sprawa narodowa.

(*Garść uwag z powodu procesu Kwileckich.*)

„*Proces Kwileckich,*" jak krótko a trafnie część prasy polskiej nazywała kilkotygodniową rozprawę przed sądem w Moabicie o przyszłego dziedzica Wróblewa, skończył się uwolnieniem wszystkich oskarżonych. Zdanie nasze o tym procesie i o osobach, główne w nim odgrywających role, wypowiedzieliśmy już w numerze 45-ym „Pracy." I nie potrzebowalibyśmy dziś ani nic dodawać ani nic ujmować z ówczesnego o nim sądu *naszego,* gdyby

---

(...)nowicie tych ukrytych. Jeden przez drugiego kłamie wówczas na temat tak zwanej miłości.

Przy poważniejszym nastroju mówi się o polityce.

Po za tem Poznańczyk nie potrafi o niczem więcej mówić. — Przepraszam jest jeszcze jedno pole: sprawy pieniężne i interesy. O tych Poznańczyk nie przestaje właściwie mówić.

Ale to naturalne. Konieczność zmusza.

Jeżeli losy rzuciły cię w imię niezbadanych wyroków na bruk poznański, a nieprzezorność twoja w wyborze rodziców stała się przyczyną, że nie wrodziłeś się w majątek; wówczas zaostrz dowcip i spryt i wytęż wszystkie siły w jednym kierunku. Rób majątek a tout prix. Inaczej Niemcy cię zjedzą, swoi tobą wzgardzą. Obowiązkiem twoim wiedzieć o wszystkiem — podejmować się wszystkiego. Zarobek, zysk, pieniądz jedyny cel. Reszta na świecie nie obchodzi cię nic.

Tylko w ten sposób możesz zyskać ogólne uznanie, ale musisz doprowadzić do tego, aby mówiono o tobie i to z z przekonaniem: o! ten, ten nawet żyda wygłupi!

Wtenczas dopiero coś znaczysz i zasłużyłeś sobie na szacunek.

Do takiego końca doprowadziła nas trudna walka o byt z przepotężną niemczyzną. — Składamy w ten sposób dowód łatwości dostosowania się do wszelkich warunków — wykazujemy żywotność. Ale fakt ten zaciężył strasznie na naszem życiu towarzyskiem.

W krainie, w której według podania orłów znajdowało się gniazdo, od dawna nie widziano królewskiego ptaka. Nie skrzydeł bicie w powietrzu tu słychać, tu ojczyzna w błotku pełzających kretynów.

Sama atmosfera zabija wszelkie wyższe dążenia.

Teatr! Ale kto tutaj interesuje się tentrem — choćbyśmy nawet pierwsze mieli nowości i najlepszy ensemble.

Koncerty stale — tego zupełnie nie uznajemy. Zresztą, dajcie spokój Lutni. Tyle się naśpiewała, że teraz musi to odtańczyć.

Odczyty — owszem — dla ludu — bardzo piękne, o Mickiewiczu i Słowackim. Ale jeśli chcesz słyszeć coś o współczesnych poetach, o prądach dzisiajszej myśli, to poczekaj sto lat jeszcze.

Wystawa obrazów — przeprowadziła się. A odkąd jej inicyatora Prusacy zagałuszyli, jak niegdyś świętego Wojciecha, to już nie wiedzieć, czy będziemy mieli nadal sposobność podziwiać Matejki szkice ołówkowe, Walerego Eliasza królów, Kostrzewskieg(...)

nie dziwne okoliczności i objawy, jakie towarzyszyły końcowej jego fazie. Pominąwszy fakt, że ci, którzy go wywołali, należeli i należą do społeczeństwa polskiego, do polskiej arystokracyi, proces pierwotnie nie miał żadnej cechy polsko-narodowej ani narodowego dla nas znaczenia. Był to proces ściśle kryminalny i jako taki tylko należało go traktować. Tymczasem dzięki prokuratoryi pruskiej — otrzymał on w ostatniej chwili rzeczywiście pewien narodowy polor. Prokuratorya bowiem, pragnąc chociaż częściowo ocalić straconą swoją pozycyę, usiłowała przedstawić odsłonięte w nim brudy jako typowy obraz polskich obyczajów i polskiej kultury, usiłowała dalej dać mu charakter jakiejś zbiorowej walki społeczeństwa polskiego przeciwko kulturze niemieckiej, a specyalnie pruskiej sprawiedliwości. Ta okoliczność w połączeniu z dziwnem zachowaniem się publiczności berlińskiej, która przy końcu z niezwykłą u niej namiętnością stanęła po stronie oskarzonych, i opuszczających więzienie moabickie, witała niemal jako męczenników lub tryumfatorów, sprawiła, że i wśród naszej opinii publicznej zaczęło kiełkować mniemanie, jakoby tu chodziło naprawdę, przynajmniej w pewnej mierze, także o narodową sprawę. I z tej jedynie przyczyny uważamy za potrzebne zabrać dziś w sprawie tej głos ponownie i jasno przedstawić rzecz całą, aby w zarodku ubić mylne na nią zapatrywania i poglądy.

Stwierdzamy tedy ponownie, że była to wyłącznie *kryminalna* sprawa. Nadany jej sztucznie „przysmak“ narodowy należy ściśle od niej odłączyć i oceniać jako sprawę zupełnie odrębną. Prokuratorya, która pragnęła ją wprowadzić na polityczno narodowe pole, spotkała zresztą zasłużona kara. Ława sędziów przysięgłych wydała werdykt uwalniający oskarzonych, olbrzymie koszta procesu, które według jednej wersyi wynosić mają ćwierć miliona, według drugiej nawet blisko pół miliona, pokryć musi kasa państwowa, a całe postępowanie w tej sprawie panów prokuratorów spotkało się w prasie niemieckiej z bardzo ostrą krytyką. Prokurator Müller, który najbardziej zawinił pod tym względem przesiedlony został do Elberfeldu, a podobno nawet uznał za stosowne podać się do dymisyi.

Taki koniec tej kryminalnej sprawy powitał ogół nasz z szczerem zadowoleniem. Mimo to pozostawia ona po sobie wrażenie *nad wyraz przykre.* „Przedstawiciele magnackich rodów polskich, — jak słusznie pisze krakowska „Nowa Reforma“ — dziedzicząc przywileje i latyfundya wraz z urokiem świetnej przeszłości i materyalną zamożnością muszą brać na siebie także *wyższą sumę obowiązków obywatelskich,* jeżeli nie chcą obniżyć się sami do rzędu *społecznych pasożytów.* Wyższą moralną miarę musimy dla tego przykładać do oceny postępowania hr. Hektora Kwileckiego, — nie mniejszą do życia tych jego krewnych, których on, rzekomo w interesie swego rodu postawił przed kratkami sądowemi. Hrabina Izabella Kwilecka, jako kobieta i matka, obudzała litość, potęgującą się w miarę tego, jak upadały motywa aktu oskarzenia. I ona i jej małżonek są wolni, wychodzą swobodnie z sądu moabickiego. Ale po nich zostaje wspomnienie i obraz ich przeszłości, ich pożycia małżeńskiego, ich gorszącego marnotrawstwa. To zostaje w aktach opinii publicznej, to wraz z majoratem wróblewskim odziedziczy kiedyś ów chłopczyna, o którego toczyła się walka przed sądem. Czy świat i życie pchną go na tory, na których znajdzie poczucie obowiązków obywatelskich i prowadzenia takiego życia, aby nigdy i nigdzie wstydzić się go nie potrzebował?

Motyw, jaki na uniwinnienie postępowania swego podał hr. Hektor Kwilecki, a mianowicie, że chodziło mu jedynie o salwowanie czystości swojego rodu jest dla społeczeństwa polskiego *mało ważny.* Społeczeństwu polskiemu zależeć może i musi jedynie na tem, aby kawał ziemi polskiej dostał się *w uczciwe* polskie ręce, któreby nie splamiły się grzesznem trwonieniem grosza polskiego i judaszowemi srebrnikami i nie sprowadzały hańby na polskie imię. *Gdzie* się zrodzi tych rąk właściciel i *jak* się urodzi, „dobrze“ czy „źle“, „wysoko“ czy „nisko“ to dla *ogółu polskiego kwestya aż nadto obojętna.*

I z tego, dla opinii polskiej jedynie racyonalnego wychodząc stanowiska, z niemałem wyczekiwaliśmy zaciekawieniem, jaki też wpływ wywrze ten proces na głównych jego aktorów, w razie, jeżeli rozwieje się akt oskarzenia i oskarzeni wyjdą wolno. Jakikolwiek był stosunek wzajemny obu linii Kwileckich, jakiekolwiek życie poprzednie dziedziców majoratu wróblewskiego to jedno było rzeczą oczywistą, że już proces sam stanowił dla obu stron przykre przejście i doświadczenie, równające się niemal surowej karze. Po-

---

dowcipy i tym podobne najnowsze utwory z dziedziny malarstwa.

Jak się to wszystko zesumuje, to rezultat bardzo smutny. I gdyby nie wystawa robót kobiecych, gdzie jeszcze można pokrzepić ducha widokiem tiulów, falbanek, koronek i innych łatwo się drących przedmiotów, toby mi nie pozostawało jak zakończyć życie w jaki bardzo tragiczny sposób. Zapomniałem bowiem nadmienić, że do spekulacyi finansowych nie mam zdolności.

Zresztą

„Niechaj pasie brzuchy
Wstrętny filistrów naród!“

P. s. Od czasu, gdy w Acerze odkryto strategiczne zdolności przeznaczające go sztabu, nikt już w Poznaniu nie pisze wierszy. (Bicza, Szlachcica, Nahajki etc, ani ja ani Chmielowski nie zaliczamy do poetów). Muszę się więc zapożyczać u Tetmajera.

Nagórny.

Z teatru.

„Publiczna tajemnica,“ komedya w 3-ch aktach Piotra Wolffa. w tłom. Zofii Wojcickiej.

„Publiczna tajemnica“ cieszyła się wielkiem powodzeniem w świecie. U nas nie wywołała zbyt wielkiego zainteresowania. Na trzeciem przedstawieniu niedwie pustkami świecił teatr.

Objaw ten łatwo wyrozumieć. Sztuka co prawda nie zła posiada udatne dowcipy i pewną dozę komizmu. Ale pisana tendencyjnie dla francuzkich stosunków i przy tem nie wolna od nudnych scen i nie dość uzasadnionych powikłań.

To nieznające granic rozczulanie się nad dzieckiem, które jest rezultatem pożycia Henryka Jouvenel z biednem dziewczęciem Marynią, można tylko zrozumieć we Francyi, gdzie statystyka wciąż wykazuje ubytek ludności. — U nas naturalnie nie cieszą się tak nadzwyczajnie ojcowie i matki, gdy zostaną dziadusiami, bez poprzedniego ślubu pana syna. Ale u nas też taką uciechę można mieć znacznie częściej niźli we Francyi.

Potajemny ten stosunek Henryka z magazynierką Marynią jest osią całej sztuki. Pierwsza wieść o tem wywołuje w domu rodzicielskim, rządzonym przez pana Jakóba Jouvenel według dawnych surowych zwyczajów, oburzenie. Mimo to tak pan Jakób jako też jego żona, Jenny, jedno przed drugiem w tajemnicy, nęceni ciekawością odwiedzają niedoszłe małżeństwo. Śliczny malec rozbraja zupełnie wszelkie chmury gniewu.

minąwszy już dziesięciomiesięczne więzienie śledcze jednej strony pod ciężarem takiego oskarzenia i bezowocne koszta i zabiegi strony drugiej, to już to stawanie pod pręgierzem opinii publicznej powinno było uprzytomnić im ogromną grozę położenia i skłonić do zrobienia ścisłego obrachunku sumienia i do *poprawy.* A cóż się stało?

Hr. Hektor *Kwilecki* postanowił zrehabilitować się solennem przeproszeniem strony przeciwnej. Nie mamy bynajmniej zamiaru powątpiewać o szczerości tego aktu skruchy. Nastąpił on jednakże tak późno, dopiero w chwili, gdy już wszystko było stracone, że nie wywołał zamierzonego wrażenia i nie znalazł tego uznania, jakiego się po nim zapewne w Kwilczu spodziewano. A strona druga? Tu ujrzeliśmy widok, który zniweczył odrazu satysfakcyą, jaką sprawił nam wyrok uwalniający. Okazało się przecie, że ciężkie doświadczenia dziesięciomiesięcznej kazni nie wpłynęły uzdrawiająco na usposobienie głównej „bohaterki" procesu. Oszołomiona owacyami publiki berlińskiej, nie zdając sobie bynajmniej sprawy, *jakie motywa wywołały te owacye,* zamiast „wejść w siebie" i rozpocząć życie nowe, zgodne z obowiązkami matrony *polskiej,* ta pani która dochody Wróblewa trwoniła po Paryżu i Riwierze, zapewnia uroczyście żydowsko- niemieckich reprezentantów prasy, że osiędzie *w Berlinie* (!) i tam wychowywać będzie przyszłego dziedzica Wróblewa, w otoczeniu obcem i w obcej atmosferze; a rozczulona hałaśliwemi wiwatami gawiedzi ulicznej, bawi się dalej — wyrzucaniem pieniędzy przez okno, tym razem nawet w *dosłownem* tego wyrażenia znaczeniu. Tak, faktem jest, że ciężko doświadczona kobieta, nazajutrz po wyjściu z więzienia rzuca przez okno grosz krwawo zapracowany przez polski lud roboczy Wróblewa, gawiedzi ulicznej, i bawi się jej bójką o tę krwawicę polskiego ludu. Czyż może być obraz bardziej przykry i smutny?

Wobec tego smutnego epilogu procesu znika satysfakcya, jaką dla naszego ogółu był wyrok uwalniający, a pozostaje tylko niesmak i troska o *to chłopię,* które kiedyś ma zawładnąć wielkim obszarem polskiej roli. I nowy oto nasuwa się dowód, że była to włącznie sprawa *kryminalna* z wszelkiemi towarzyszącemi takim sprawom objawami i wynikającemi z nich następstwami. I tylko gorycz pali serca, że aktorami tej okrutnej tragi-komedyi — są członkowie *społeczeństwa polskiego!*!

* * *

Przejdźmy teraz do nadanego tej sprawie sztucznie charakteru a raczej poloru polityczno-narodowego. Zamiar prokuratoryi nie dopiął celu, nie pomogło kwestyonowanie wiarogodności przysięgi całego zastępu świadków polskich, nie pomogły ataki dr. Müllera na polską gospodarkę i rozmaite inne „niegodziwości" polskie, nie pomógł także końcowy apel do przysięgłych, ażeby odparli ten rzekomy zbiorowy zamach żywiołu polskiego na sądy pruskie i pruską sprawiedliwość. Ława przysięgłych nie poszła za głosem rządowego oskarzyciela, a wyrok wydany przez nią zyskał żywy poklask całej niemal opinii w Niemczech.

Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że oskarzeni w tym procesie kryminalnym doznali ze strony publiki berlińskiej takich samych niemal objawów życzliwości, jak ongi nasi więźniowie polityczni, skazani za rok 1846. Nazwalibyśmy to najchętniej bardzo przykrem dla nas *szyderstwem losu,* gdyby motywa tych objawów nie były w gruncie rzeczy tak różnorodne, iż usuwają nawet zewnętrzną analogię obu tych zdarzeń. Przed pół wiekiem tłumem berlińskim kierowała *cześć* dla szermierzy *wolności,* której powiew ożywił także i uszlachetnił serca tego tłumu.

W tym wypadku zaś motywem owacyi Berlińczyków była obok czysto ludzkiego współczucia dla tak ciężko doświadczonych, obok uroku sensacyi całej tej sprawy, jedynie *żądza hałaśliwego zaprotestowania przeciwko nieprawidłowościom w sądowej procedurze karnej,* jakie odsłonił ten proces. *Narodowe motywa najmniejszej tu nie odgrywały roli.* Nawet ta część prasy niemieckiej, która względem oskarzonych najżyczliwsze zajęła stanowisko, która najostrzej piętnowała dziwne postępowanie prokuratoryi w tej sprawie i cały aparat oskarzenia, nie pozostawia nam żadnego co do tego złudzenia. „Do ogólno psychologicznego zainteresowania — pisze np. bardzo zresztą bezstronna *„Frankfurter Zeitung"* —jakie ta sprawa wzbudzała, przyłączyły się w toku procesu a zwłaszcza w ostatniej jego chwili jurystyczne „niezwykłości" (Besonderheiten), naruszające ogólny wymiar sprawiedliwości, które wyjęły ten proces z ram zwykłej sądowej rozprawy sensacyjnej. Sposób, w jaki prowadzono śledztwo wstępne, w jaki występowali prokuratorzy, a w niemniejszej mierze także kierownicy rozprawą, dał tyle powodów do krytyki, że w końcu przyszło do formalnej manifestacyi ludowej, manifestacyi, która w gruncie *rzeczy nie odnosiła się do oskarzonych, lecz miała jedynie dać wyraz oburzenia opinii publicznej z powodu ataków, jakie padały tak na nią, jak i na publiczne poczucie prawa.*"

Jasno nam tu więc powiedziano, że publiczności berlińskiej bynajmniej nie chodziło o oskarzonych, ani o to, iż starano się wyzyskać ten proces przeciwko społeczeństwu polskiemu, lecz tylko o *zaprotestowanie przeciwko niewłaściwemu postępowaniu reprezentantów sądownictwa i przeciwko przestarzałej procedurze karnej,* której braki i niedomagania *przypadkowo* właśnie w tym procesie w sposób jaskrawy na jaw wyszły. Jest też rzeczą niemal już pewną, że proces ten da powód do energicznej akcyi parlamentarnej w kierunku naprawy obecnej procedury karnej. Opinia fachowców prawniczych zwraca się zwłaszcza przeciwko dotychczasowemu systemowi przesłuchiwania świadków wyłącznie przez sędziego śledczego z *wykluczeniem obrońców i oskarzonych.* Lecz ewentualna reforma tego systemu nie będzie miała nic wspólnego z jakiemikolwiek względami narodowemi.

Nie! Tak samo, jak zwykłem hakatystycznem łotrostwem były usiłowania prasy gadzinowej, aby z procesu tego ukuć broń przeciwko społeczeństwu polskiemu, tak samo te owacye Berlińczyków dla oskarzonych i wszelkie następstwa procesu były i będą jedynie wynikiem opozycyi szerokich kół ludności niemieckiej przeciwko niewłaściwej formie procesu, wynikiem obawy, że to, co dziś w tym procesie spotkało hrabiostwo Kwileckich, jutro spotkać może *każdego Niemca,* — a nie mają i mieć nie mogą żadnej styczności z sprawą polską." I jak hrabiostwo Kwileccy nie mieli właściwie żadnego powodu do wdzięczności względem Berlińczyków, tak też mylnem byłoby po naszej stronie mniemanie, iż proces

---

Rzecz kończy się wesoło wprowadzeniem Maryni i jej synka do rodziny.

Publiczną tajemnicę grano bardzo dobrze. Pan Czerniak w roli Jakóba Jouvenel stworzył typ pełen prawdy i życia. Doskonałą partnerką jego była p. Kosmowska w roli Jenny.

Maryą była pani Łącka. To też sympatyczna postać magazynierki jednała sobie wszystkich prostotą i naturalnością.

Na zupełne uznanie zasłużyli wreszcie p. Pawłowski w roli Henryka i panna Grabowska w roli p. Langeac jako niezrównana mama polująca na męża dla córki.

K. B.

ten obudził *sumienie* Niemców względem Polaków.

Na to potrzeba, jeżeli jest to wogóle możliwe — innych zupełnie czynników, niż ten proces, który był jedynie przykrą dla nas i upokarzającą pod niejednym względem sprawą czysto *kryminalną.*

Poznańczyk.

Powrót walki kulturnej.

Mnożą się oznaki, że w dzielnicach polskich pod rządem pruskim wracają znów srogie czasy walki kulturnej. Co prawda, to walka ta u nas nigdy zupełnie nie ustała; bo gdy złagodniała w dziedzinie kościelnej, zawrzała z tem większą zaciętością w dziedzinie narodowej. Lecz teraz w dziedzinie kościelnej zaostrza się znowu.

Doszło do tego, że rząd miesza się już do spraw czysto kościelnych, że w sposób, nie licujący z powagą władzy duchownej usiluje ją zmusić, aby w polskich parafiach zaprowadzała kazania niemieckie, wywiera na nią nacisk, aby młodych teologów, przyszłych kapłanów zniewalała siłą swej dyscyplinarnej władzy do uczęszczania na niemieckie, po części nawet antikatolickim duchem owiane wykłady w nowej akademii, instytucyi nawskroś germanizatorskiej.

Nie dość na tem!

Kapłanom naszym grożą znów kary więziennne!!

Rząd odgrzebał znów zapomniany przez pewien czas paragraf ustaw majowych o *kazalnicy* i na podstawie tego paragrafu wytacza znów procesy księżom naszym. Niedawno temu toczył się taki proces przeciwko księdzu z okolicy Leszna, przed tygodniem z trudem tylko uniknął ostrości tego paragrafu czcigodny ks. *Paluchowski w Szadłowicach* na Kujawach.

Jaką że popełnił *„zbrodnię?“*

Tę tylko, że w myśl zdrowego rozsądku, w myśl naszych praw przyrodzonych i politycznych, w myśl uchwał parlamentu niemieckiego zachęcał z kazalnicy swych parafian, ażeby *na urzędach stanu cywilnego* nie pozwalali spaczać swych polskich imion i nazwisk, ażeby zwłaszcza żeńskich nazwisk na *„ska“* nie pozwalali zapisywać z końcówką *„ski“* — sprzeciwiającą się *naturze języka polskiego.*

Oto wszystko!

Kazaniem tem czuł się dotknięty miejscowy nauczyciel *Schwemmin*, który pełni tam zarazem obowiązki urzędnika stanu cywilnego. Pan ten już z innych przyczyn nie był łaskaw na ks. Proboszcza, nie mógł się przytem zgodzić także z polskimi parafianami Szadłowic, miał z nimi nawet zajście w gościńcu, które skończyło się bardzo przykro dla niego. Nie namyślał się też ani chwili, lecz natychmiast zadenuncyował ks. Proboszcza do prokuratoryi o to kazanie. Przed sądem zaś posunął się nawet tak daleko, że ośmielił się nazwać to kazanie *„eine Hetzpredigt,“* co na żądanie obrońcy księdza Proboszcza skarcił nawet przewodniczący sądu.

Prokurator w rozprawie podtrzymywał w całej pełni akt oskarzenia — a wreszcie *ku przerażeniu* polskich i katolickich świadków wniósł dla ks. Prob. Paluchowskiego o *3 miesiące więzienia...*

Obrońca pan mecenas *Dziembowski* zwrócił słusznie uwagę, że wniosek ten dowodzi, iż *rozpoczyna się u nas znów walka kulturna.* Dalej wskazał na to, że świadkowi Schwemminowi nie można zupełnie wierzyć, bo przejęty nienawiścią do oskarżonego kapłana sam już nie umie odróżnić fałszu od prawdy. Zapisywanie nazwisk polskich w pisowni niemieckiej w księgach stanu cywilnego jest rzeczywiście *bezprawiem;* uznał to nawet *parlament niemiecki.* Ksiądz uczynił więc tylko to, *do czego miał prawo.* „Z zdumieniem — zakończył mówca — usłyszałem wniosek prokuratora, żądający *kary więziennej* dla oskarżonego. Obawiam się, że takie wnioski zatracą zupełnie poczucie prawa i moralności. Więzienie to kara za *zbrodnię;* jeśli do *więzienia* za takie sprawy posyłać będziecie *kapłanów*, natenczas więzienie przestanie być miejscem kary za zbrodnie. Bo każdy zbrodniarz będzie się szczycił, że miał za kolegę — *kapłana katolickiego...*

Sąd wydał wyrok *uwalniający.* Ale nie dlatego, iżby podzielał zapatrywania prawne obrońcy, lecz tylko dlatego, iż nie można już było dokładnie stwierdzić, w jaką formę ubrał ksiądz P. te swoje uwagi na kazalnicy. O uchwałach parlamentu powiedział przewodniczący trybunału, że sąd nie uznaje ich za prawo, dopóki nie są ogłoszone w zbiorze praw.

Ks. Paluchowski zawdzięcza wyrok uwalniający jedynie *przypadkowi...* Gdyby nie to, byłby zakosztował może doli tylu księży męczenników z czasów walki kulturnej...

Ludu polski! bądź czujny i mężny! Otaczaj obywateli, którzy tak bronią praw Twoich, miłością i wiernością, bo ciężka jest ich dola.

Niech ta nowa walka kulturna, na jaką się zanosi, znajdzie Cię tak samo na wyłomie, jak znalazła Cię pierwsza. A praw swoich broń śmiało i dzielnie, nie pozwól spaczać nazwisk swoich, nie pozwól odbierać sobie charakteru polskiego. Trzymaj się ziemi i języka Twego, wpajaj poczucia narodowe w dziatwę, bo nadchodzą czasy coraz cięższe. A tylko *Twoja wiara, Twoja wytrwałość zapewnić ci może zwycięstwo!!*

Ordon.

Rusini w Galicyi.

I.

Kraków, dnia 20 listopada 1903.

Donosząc wam o secesyi posłów ruskich z sejmu galicyjskiego wyraziłem obawę, że Niemcy w sejmie pruskim lub w parlamencie niemieckim zaraz ukują z tego broń przeciwko waszym posłom, gdy ci w tych ciałach prawodawczych wystąpią ze skargami na ucisk Polaków w zaborze pruskim. Ewentualność taka stała się dziś tem prawdopodobniejszą, ponieważ „pisarze“ ruscy z kategoryi osławionego Romana Sembratowicza skorzystali w lot z tego faktu, aby zasypywać niemiecką prasę antypolską — naturalnie za wysokie honorarya, elaboratami, przedstawiającemi dolę Rusinów w Galicyi w najczarniejszych barwach, a rządy polskie jako jedno nieprzerwane pasmo gwałtów bezprawia i korupcyi. Co więcej, żale Rusinów rozbrzmiewały świeżo znów w parlamencie austryackim. Wytoczył je tam w ubiegłym tygodniu znany poseł ruski *Romańczuk.* A chociaż z ust austryackiego prezydenta gabinetu dr. *Koerbera* otrzymał ostrą odprawę, chociaż ten bardzo Rusinom sprzyjający szef rządu austryackiego z naciskiem wskazał na to, że większość polska Sejmu galicyjskiego dużo już zdziałała dla ludu ruskiego i szczerze jest dla niego życzliwą, — za pewnik niemal uważać można, że żale ruskie nie umilkną, że coraz częściej pojawiać się będą także w pismach niemieckich wychodzących w Rzeszy i że w końcu odezwą się także w sejmach berlińskich. Aby je należycie odeprzeć, powinni posłowie wasi już dziś poinformować się dokładnie o stosunkach we wschodniej Galicyi i o rzeczywistem położeniu Rusinów. Nie od rzeczy też będzie, gdy i ja dziś wskażę wam na niektóre rysy i szczegóły, które wykazują dobitnie, że Rusini nie mają bynajmniej prawa skarżyć się na rzekomy „polski ucisk.“

Faktem jest, że mimo tego rzekomego „ucisku polskiego“ ludność ru-

ska w Galicyi rozwija się bardzo pomyślnie, że zdobywa sobie coraz nowe ważne pozycye narodowe i ekonomiczne i że stale wypiera żywioł polski. O jakimkolwiek „ucisku“ już z tej przyczyny nie może być mowy, ponieważ Rusini cieszą się daleko sięgającą opieką rządu austryackiego. Rząd ten używa stale żywiołu ruskiego do wywierania presyi na Polaków. Gdy tylko Koło polskie zajmie stanowisko, nie zgadzające się z intencyami i dążnościami rządu, gabinet austryacki zaraz wygrywa przeciwko niemu atuty postulatów ruskich. I jeżeli teraz dr. Koerber uznał za stosowne wystąpić przeciwko posłom ruskim, to przyczyną tego była tylko ta okoliczność, że posunęli się oni w swych skargach już za daleko, oraz to, że rząd obecnie bardzo potrzebuje poparcia Koła polskiego.

W kraju tymczasem w Galicyi, skryte lub jawne popieranie Rusinów nie ustaje ani na chwilę. Uprawia je także w myśl intencyi rządu obecny namiestnik Galicyi hr. Potocki. Zażądał on, jak wiadomo, aby polski magistrat miasta Lwowa z stronami ruskiemi komunikował się tylko w języku ruskim. A chociaż magistrat wskazał na to, że takie żądanie sprzeciwia się statutowi miejskiemu, namiestnik nie odstąpił od swego zarządzenia.

Zapewne też zwróciliście już uwagę na dziwny na pozór objaw, że od pewnego czasu nawet te organa polskiej prasy galicyjskiej, które dawniej przemawiały za szerszem uwzględnianiem postulatów ruskich, zajęły wobec Rusinów stanowisko conajmniej bardzo chłodne, a nawet nieprzychylne. Ta zmiana frontu nie jest wynikiem „szowinizmu polskiego“ lecz po prostu konieczności samoobrony. Stosunki w wschodniej Galicyi ułożyły się tak, że dziś już można mówić bez przesady raczej o ucisku Polaków ze strony Rusinów. Niepomyślne to dla nas ukształtowanie się stosunków dokonywało się powoli już od dawna, częścią przez ogromny napływ inteligencyi ruskiej do urzędów, częścią przez opieszałość, krótkowidztwo i dobroduszność strony polskiej. Jako jeden z przykładów przytoczę tutaj, że już dzisiaj np. *sądownictwo w wschodniej Galicyi posiada wybitną cechę ruską.* Rusini zalewają wprost urzędy w sądownictwie i zupełnie otwarcie szerzą w niem ruszczyznę kosztem praw języka polskiego. Nie będę tutaj wyliczał ustępstw, jakie Rusinom uczynił za swych rządów obecny prezydent apelacyi lwowskiej, lecz wskażę tylko na praktyczne ich skutki.

Pozwolenie na ruskie wpisy do ksiąg gruntowych np. wywołało istny chaos w urzędowaniu sędziów, adwokatów i stron samych. Ale doczekaliśmy się jeszcze i gorszych rzeczy. W dwóch senatach lwowskiego sądu krajowego dla spraw cywilnych przewodniczącymi są radzcy Rusini .W jaki zaś sposób obwiwaj ci dygnitarze ruscy manifes[illegible] swoje urzędowanie, niechaj służy za przykład fakt, jaki się niedawno wydarzył. Jeden z nich zarządził rozprawę apelacyjną na dzień 8 września rb., a kiedy jeden z polskich członków senatu zwrócił mu uwagę, że dzień 8 września jest uroczystem świętem katolickich Polaków, świętem Narodzenia N. Maryi Panny, pan prezes szorstko odpowiedział, że rozprawa musi się mimo to odbyć.

I odbyła się rzeczywiście, pomimo że obaj członkowie trybunału czyli tak zwani wotanci, a także obie strony występujący w tym procesie były Polakami i „łacinnikami.“ Gdyby wypadek taki wydarzył się Rusinom, łatwo wyobrazić sobie można, ileby o to było hałasu w dziennikach ruskich. Tymczasem prasie polskiej nikt nawet nie doniósł o tej krzywdzie, wyrządzonej Polakom.

Nie inaczej postępuje prezes drugiego senatu. Ten wprowadził wprost bezwzględnie język ruski do protokołów rozpraw apelacyjnych i prowadzi *po rusku* rozprawy nawet wtedy, gdy pozew i wyrok pierwszej instancyi były stylizowane w języku polskim. Zmusza on nawet świadków Polaków, aby zeznawali po rusku. Czynni przy trybunale adwokaci Polacy widzą to wszystko, lecz milczą, aby nienarazić się na ewentualną nieżyczliwość panów prezesów.

Tak oto wciska się ruszczyzna do władz i urzędów w wschodniej części Galicyi. Cóżby powiedzieli Niemcy, gdyby jaki sędzia polski w ten sposób traktował Niemców i język niemiecki w sądach pruskich? Prawda! O tem ani pomyśleć nie można, boć u nas język polski zupełnie jest wykluczony z sądownictwa. Mniemam też, że wskazaniem na takie wypadki będzie można zamknąć usta niepowołanym obrońcom Rusinów w sejmach berlińskich.

Co gorsza jeszcze, przewagę ruszczyzny ułatwiają nawet instytucye publiczne, stworzone przez Polaków i pod ich nadzorem działające. Niedawno temu np. lwowski Bank hypoteczny sprzedał dobra ziemskie Miłowane znanemu kolonizatorowi ruskiemu, grecko katolickiemu parochowi Wojnarowskiemu, a sprzedał je pod warunkami uderzająco korzystnemi, bo tylko za zadatkiem 10,000 koron. Resztę ceny kupna ma nabywca spłacać w miarę, jak będzie sprzedawał parcele chłopom ruskim, w ciągu lat 6-ciu.

Niechże teraz posłowie polscy w Berlinie, gdy znów przyjdzie do „dyskusyi ruskiej“ zapytają się panów ministrów i posłów hakatystycznych, coby powiedzieli na to, gdyby np. komisya kolonizacyjna lub „Landbank“ odprzedali jaki majątek panu *Biedermannowi*, wydawcy *„Pracy“* pod podobnie korzystnemi warunkami na parcelacyą między włościan polskich? Już dziś przewidzieć można, jakiby powstał z tego powodu „rwetes“ w państwie „bojaźni bożej i dobrych obyczajów.“

Na dziś niech wystarczy ta garstka faktów, świadczących tak wymownie, że o ucisku Rusinów ani mowy być nie może. Więcej takich szczegółów podam wam w następnym liście.

Galicyanin.

Z TYGODNIA.

W dzisiejszej naszej kronice politycznej możemy przyjrzeć się nieco bliżej stosunkom wewnętrznym *Rzeszy niemieckiej i królestwa pruskiego,* bo polityka zagraniczna nie wiele zajmie nam miejsca i uwagi. Właściwie i dziś co do tej polityki powiedzieć można, że nic się nie stało. Para królewska *włoska* wróciła już z *Anglii.* W powrocie, w przejeździe przez *Francyą* groziło jej wielkie niebezpieczeństwo. Jakiś — podobno — obłąkany żołnierz francuzki z oddziału, który miał strzedz toru kolejowego, zamiast bronić go przed zamachami, sam popełnił zamach, kładąc na szyny, któremi za chwilę miał przejeżdżać pociąg królewski, wielkie kamienie. Zamach ten spostrzeżono na szczęście dość wcześnie, kamienie usunięto, a sprawcę zamachu oddano podobno do „czubków.“ Włoska para królewska może do dziś dnia nie wie jeszcze, co jej groziło; gdy się dowie, straci może ochotę do podróżowania po obcych krajach. Okazuje się — że i na wojsko dziś już w takich razach z zupełną pewnością liczyć nie można, bo i do jego szeregu zakrada się coraz częściej duch buntu i rzekomy „obłęd“ godzenia na życie panujących. Korony monarsze stają się naprawdę coraz bardziej koronami cierniowemi.

W *Austryi* i *Węgrzech* położenie zmieniło się — w ubiegłym tygodniu chyba tylko o tyle, że do tylu dotychczasowych kłopotów przyłączył się nowy również bardzo niemiły. Państwo to ma wśród różnojęzycznych podda-

nych swoich także kilkaset tysięcy *Włochów*, którzy tak samo jak wszystkie inne ludy austryackie domagają się rozleglejszych praw narodowych. W ostatnim czasie Włosi austryaccy wystąpili z żądaniem, aby im państwo dało osobny włoski uniwersytet w *Innsbrucku*, a gdy rząd austryacki zwlekał z spełnieniem tego życzenia, założyli sobie tam własną, prywatną, tak zw. wolną wszechnicę. Niemcy, którzy w Tyrolu i w Innsbrucku tworzą większość, uczuli się stoli tą śmiałością włoską bardzo dotknięci w swem poczuciu narodowem i grozili, że do otwarcia tej nowej wszechnicy nie dopuszczą. Obawiając się krwawych zaburzeń, rząd także zabronił otwarcia — a przybyłego na ten uroczysty akt słynnego profesora włoskiego Gubernatisa odesłał do domu. Na wieść o tem zakotłowało w całych Włoszech. I znów jak przed rokiem odbywają się w miastach włoskich burzliwe demonstracye austryackie, które rządowi austryackiemu nasuwają zapewne bardzo nie wesołe myśli na temat wartości austryacko włoskiego przymierza w szczególności, a trójprzymierza w ogólności.

Turcya raczyła wreszcie poddać się woli mocarstw. Rząd turecki odpowiedział ambasadorom *austryackiemu* i *rosyjskiemu*, że przyjmuje propozycye, objęte znaną notą obu tych państw. Tylko co do ich *kontroli* nad przeprowadzeniem reform w *Macedonii* zastrzega sobie dalsze układy. Pytanie teraz, jak długo układy te się przeciągną i czy, zanim doprowadzą do jakiego pochwytnego rezultatu, nie nadejdzie wiosna, a wraz z nią — *nowy wybuch powstania*, który znów mocarstwom pokrzyżuje szyki.

Najpomyślniejsza dla nas wieść nadchodzi z *Warszawy*. Głosi ona, że obecny wielkorządzca królestwa, generał *Czertków* ma naprawdę ustąpić ze swego stanowiska. Słychać nawet, że po nim ma przyjść jeden z wielkich książąt rosyjskich. No, Warszawa odetchnie na chwilę, bo Czertków przywracał znów zupełnie ucisk Hurki.

Zresztą nad całą polityką zagraniczną możemy przejść śmiało do porządku dziennego. Nic na tem nie stracimy. Wróćmy tedy do wielkiego „*Vaterlandu*“ naszych współobywateli Niemców. Tu znakiem czasu i główną troską zarówno rządu jak i ogółu jest *wzrastająca bieda* i to nietylko bieda w kraju, ale także w *budżecie państwowym*. Wydatki na wojsko i marynarkę takie pochłaniają kwoty, że mimo rozpaczliwych wprost wysiłków panów kanclerzów i ministrów już od kilku lat trudno powiązać koniec z końcem. I tak już w roku ubiegłym trzeba było tylko na pokrycie niedoboru w budżecie zaciągnąć nową pożyczkę w wysokości 72 milionów marek. W roku bieżącym zanosi się na niedobór jeszcze większy, tak że potrzeba będzie pomnożyć i tak już ogromne długi państwowe o dalsze 150 milionów marek. Piękne widoki, nieprawda? Kanclerz pierwotnie myślał podobno o tem, ażeby poszczególne państwa Rzeszy ze swoich dochodów pokryły ten niedobór przez podwyższenie tak zw. *dodatków matrykularnych*, ale ten pomysł napotkał na stanowczą odmowę. Z ceł na płody i wyroby zagraniczne w najbliższym czasie także jeszcze większych dochodów spodziewać się nie będzie można, ponieważ nowe traktaty handlowe z zagranicą jeszcze nie zawarte, a nowa niemiecka taryfa celna nie znajduje uznania w Rosyi i Austryi. Rządowi nie pozostanie więc nic innego, jak zaproponować parlamentowi oclenie, a raczej opodatkowanie w wyższym jeszcze stopniu dwóch ważnych artykułów konsumcyi wewnętrznej, a mianowicie *piwa i tytoniu*. Na te dwa artykuły rząd Rzeszy od dawna już rzuca wzrok miłosny, nieraz już chciał położyć na nich ciężką „rączkę“ fiskusa podatkowego, ale za każdym razem cofał się wobec oburzenia, jakie zamachy te wywołały w opinii publicznej. Czy nowa ta próba będzie szczęśliwszą, wątpimy. Zamiar taki rządu natrafi na wielki opór w szerokich warstwach ludności, z którym i parlament będzie się musiał liczyć.

Bieda w budżecie niemieckim przybrała takie rozmiary, że rząd odroczył dla niej nawet spełnienie najulubieńszego swego marzenia, projektu *ponownego pomnożenia armii*. To rzecz nowa, w Niemczech niebywała. Na wszystko inne bowiem szczędzono, tylko nie na wojsko. Musi więc już być bardzo źle w „państwie duńskiem,“ jeżeli nie starczy już nawet na potrzeby wojskowe....

Przepraszam — jest jeszcze jedna potrzeba, na którą wedle słów ministra *Rheinbabena* pieniądze zawsze znaleźć się muszą; a mianowicie *polityka antypolska*. Mimo niedoboru w budżecie zażąda kanclerz od parlamentu *przeszło pół miliona marek* na „dodatki do pensyi“ dla *urzędników Rzeszy*, w pierwszym rzędzie *pocztowych, w polskich dzielnicach*. Urzędnicy ci, nie należący do administracyi pruskiej, z zazdrością bowiem spoglądali na to, jak urzędnicy pruscy używali sobie za owe dodatki. Więc i dla nich ma teraz nadejść taka szczęśliwość. Ciekawa wielce rzecz, czy parlament zgodzi się na to? Poraz pierwszy bowiem tego rodzaju pozycya pojawi się w budżecie Rzeszy niemieckiej. Dotychczas na te cele, na zwalczanie Polaków, jako na specyalnie pruską przyjemność i zabawkę, tylko *Prusy* łożyły.

Stan finansów Królestwa pruskiego jest wprawdzie nieco pomyślniejszy od stanu finansów Rzeszy, ale także na zbyt wielkie wydatki nie pozwala. Mimo to biuro Wolffa już zapowiada *nowe kwoty na dalsze cele antypolskie*. O co chodzi, gdzie i na co rząd znów sypnie groszem „uciśnionej niemczyżnie“ — nie wiadomo jeszcze. Może będzie między tem znów jaki specyał, bardziej przykry dla nas.

A no, będzie jak Bóg chce! Jedyna dla nas pociecha, że takiego napięcia wydatków bezowocnych i najzasobniejszy budżet nie wytrzymałby na czas dłuższy, a co dopiero pruski. Jeżli tedy trzymać się będziemy nadal dziarsko, nadejdzie niezadługo chwila, w której pruski minister skarbu uczuje płótno w kieszeni i powie: „es geht nicht mehr.“ A wówczas rzesza hakatystyczna odkrzyknie: „śpiewać darmo — boli gardło“ no i może w ten sposób rozgardyjasz antipolski ucichnie trochę. Żal serce ściska tylko, że braknąć już będzie w Berlinie najdzielniejszego pogromcy takich pomysłów rządowych, śp. posła *Głębockiego*. Pozostawił on po sobie lukę, którą trudno będzie wypełnić. Miejmy jednak nadzieję, że inni nasi posłowie tem odważniej i gorliwiej staną teraz na wyłomie!

M. O.

Przegląd prasy.

Wiadomość o śmierci jednego z najdzielniejszych posłów naszych ś. p. Józefa Głębockiego, który na ulicy Podgórnej w ubiegły piątek umarł nagle na paraliż serca, wstrząsnęła całem naszem społeczeństwem, okryła żałobą wszystkich bez różnicy zapatrywań i odcieni politycznych. A jednak znalazło się pismo, które wobec tej dotkliwej i wprost niepowetowanej straty zachowało się jak żale wobec profesora, który mu sprawił baty. Pismem tem to „*Kuryer Poznański*,“ stojący pod naczelną redakcyą ks. kanonika Zimmermanna. Zdobył się zaledwie na krótki życiorys ś. p. posła Głębockiego, wyjęty ze spisu posłów i co najważniejsza, umieścił go gdzieś na trzeciej stronie, podczas gdy na pierwszej jakieś manifesty do cara się rozpościerają. „Kuryer P.“ sądzi wido

cznie, że dla społeczeństwa naszego jakiś manifest więcej znaczy, aniżeli śmierć posła tak dzielnego, tak potężnego szermierza parlamentarnego i tak ukochanego przez lud. Prosta przyzwoitość dziennikarska nakazywała umieścić ten „nekrolog“, na pierwszej stronie. Za wzór „Kuryerowi“ posłużyć może taki *„Dzien. Pozn.“* który przecież także należy do tego samego obozu. Brak nam słów, żeby napiętnować podobny postępek.

„Kuryer Poznański“ wogóle znajduje się w ostatnich czasach w trudnem położeniu, w które się dostał z powodu stosunku kleryków do germanizacyjnej akademii i następnie z powodu znanych dokumentów naczelnego prezesa p. Waldowa. Jak się w pierwszym przypadku zachował, wiedzą już Czytelnicy pisma naszego. Ciekawem jeszcze jest stanowisko jego w drugim przypadku. Na odnośne uwagi kilku pism ludowych odpowiada on:

„Przyszła więc kolej na nas jako na pismo katolickie, abyśmy wobec tego zajścia zajęli przynależne nam stanowisko.

„Nie udaliśmy się w tej mierze po informacye żadne do władzy duchownej, nietylko dla tego, że nie (!) jesteśmy jej organem, ale że nie możemy w sprawie wewnętrznej kościelnej, będącej w biegu, spodziewać się od niej żadnych komunikatów, przeznaczonych dla prasy.

„Wystąpić jednak musimy przeciw zuchwałości (!) wymienionych gazet („Dziennik. Berl.“ i „Orędownikowi“), które najnowszy ten krok naczelnego prezesa uważają za skutek polityki ustępstw, jaką wobec rządu kierowała się władza duchowna i tej że polityce ten występ... urzędnika pruskiego wobec naszego najwyższego Zwierzchnika przypisują.

„Czyż znają te gazety akta ordynaryatu archidyecezyi naszych, aby mogły sądzić, iż brak było i jest energicznych protestów ze strony naszej władzy duchownej przeciw ingerencyom rządu pruskiego, i czyż wiedzą, jaką odpowiedź wystósował Najprzewielebniejszy *ks. Biskup Likowski* do naczelnego prezesa wobec tej formy pisma, ubliżającej powadze naszej najwyższej władzy kościelnej?

„Czyż można przypuszczać, aby do kościoła i do swego społeczeństwa przywiązane serce Najprz. ks. Biskupa (!) mniej od redakcyi tychże pism odczuło to wtargnięcie władzy świeckiej w prawa władzy duchownej, i mniej się oburzyło na ten ton, jaki przybrał naczelny prezes pruski wobec księcia Kościoła katolickiego, który, jak wiadomo, już w chwili wysłania pisma, groźną złożony był chorobą?

„Do protestu zaś musiał właśnie Najprzew. ks. Biskup tem więcej czuć skłonności, iż nikt lepiej od Niego właśnie nie wie, jak dalece potrzeby Niemców-katolików w naszych archidyecezyach są zaopatrzone.

„Że mimo to zawezwał wymienionych w piśmie duszpasterzy do sprawdzenia liczb ludności w parafiach, przytoczonych przez naczelnego prezesa, uważać to będzie każdy za akt bardzo rozumny, kto wie, na jak falszywych podstawach liczebnych oparte są podania o kazania niemieckie, nadsyłane do władzy duchownej.

„Ileż to razy duszpasterze, z których parafii Niemcy-katolicy, częstokroć przez urzędników podszczuwani, wnosili petycye o zaprowadzenie lub pomnożenie kazań niemieckich, sprawdzali, iż liczby fałszywie były podane, a podpisani byli Polacy, polscy nasi nawet wieśniacy, zwłaszcza też tacy, którzy to uczynili w stanie nietrzeźwym, kobiety, które nie wiedziały, co się święci, a nawet protestanci.

„Więc krok ten Najprzew. ks. Biskupa był niezmiernie trafny — spodziewać się bowiem można, że spisy nadesłane i tym razem wykażą się nieścisłemi.

„Po za tem mamy wraz z całą dyecezyą najzupełniejsze zaufanie do Najprzew. ks. Biskupa, iż Niemcom-katolikom, żyjącym w polskich parafiach, nie przyzna większej procentualnej ilości kazań, jaką przyznaje zawsze Polakom mieszkającym w parafiach niemieckich, zgłaszającym się o kazania polskie.“

Podaliśmy artykuł powyższy w całości dla scharakteryzowania polityki karyerowej. Przewraca on wprost kota w worku i broni z głupia frant Najprzew. Ks. Biskupa Likowskiego. Ależ Szanowny „Kuryerze,“ — nikt nie myślał zaczepiać Ks. Bisk. Lik., a pisząc o polityce ustępstw naszej władzy duchownej, miał każdy na myśli politykę, zapoczątkowaną przez ówczesnego prałata wrzesińskiego na wiecu toruńskim.

„Dziennik Berl.“ odpowiadając „Kuryerowi“ pisze pomiędzy innemi:

„Na mocy dobrej znajomości odnośnych stosunków możemy stwierdzić, że ks. biskup Likowski, gdy już raz podczas choroby księdza Arcybiskupa sprawował rządy archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, dał należytą odprawę ówczesnemu naczelnemu prezesowi Księstwa drowi Bitterowi, gdy on pozwolił sobie w podobny ton uderzyć wobec władzy duchownej, ale wiadomo nam również, że ks. *Arcybiskup* od samego początku swoich rządów nieuprawnionej ingerencyi rządu w wewnętrzne urządzenia kościelne nie umiał równej przeciwstawić opozycyi, i tem się stało, że ta władza pozwala sobie dziś tak butnie występować wobec naszych czynników kościelnych. Przypomnijmy sobie tylko dobrze perypetye sprawy opalenickiej, witaszyckiej, sprawy bezprawnego już od lat wielu zaprowadzenia niemieckiej nauki religii na przedmieściach poznańskich a przedewszystkiem perypetye sprawy wrzesińskiej! Wtedy chyba i pismo, które udaje, że nie jest organem wyspy tumskiej, raczy nam przebaczyć ową naszą rzekomą „zuchwałość“ i przyznać, że my krytykując zbytnią, naszem zdaniem uległość władzy duchownej wobec rządu, broniliśmy szczerze ogólnego polskiego i katolickiego interesu naszego społeczeństwa.“

Co do twierdzenia „Kuryera“ jakoby nie był organem władzy duchownej, to odpowiadamy mu, że w Poznaniu wie prawie każde dziecko, skąd rozmaite artykuły pochodzą i podobne wypieranie się robi komiczne wprost wrażenie.

Na Ślązku jeszcze się umysły nie uspokoiły po walce wyborczej, ale powoli zaczynają się stósunki układać i ułożą się prawdopodobnie tak, że sojusz z centrum nigdy nie powróci. To też żąda *„Górnoślązak“*, aby posłowie do parlamentu Szmula i Królik, wobec których centrum nie dotrzymało warunków, wstąpili do Koła polskiego. Nawet „Katolik“ ten uparty zwolennik centrowców, przekonał się, że sojusz z nimi jest niemożliwym. Przekonaniu swemu daje wyraz w następującym artykule:

„Postępowanie centrowców w Opolskiem jest najwięcej znamienne dla ducha, z którego wszystko wyszło. Pana Szmulę od 10 lat zwalczano dla tego, ponieważ z polskim ludem trzyma i z „Gazetą Opol.“ ma stosunki. Przy każdych wyborach usiłowano go poselstwa pozbawić, ale dopiero teraz się to udało. W jaki sposób? Jedynie i wyłącznie przez zawarcie spółki katolików niemieckich z rządowcami i hakatystami.

„Z tego wynika, że katolicy niemieccy, pomiędzy którymi znajdują się także księża katoliccy, woleli się połączyć z Niemcami ewangielikami i żydami, niż z katolikami i Polakami. Tego lud polski nie może zapomnieć nigdy. A ponieważ to partya centrowa tak postąpiła, dla tego sama dla siebie wykopała grób. Partya, która wierny polski lud opuszcza, co więcej, która ewangielikom i żydom ręce podaje, aby polskich katolików bić, utraciła zaufanie ich na zawsze. To jest prosty gwałt zadany katolikom polskim przez katolików niemieckich.

„Dlaczego się to wszystko stało? Dla tego, ponieważ katolików niemieckich opanował duch hakatystyczny. Zapomnieli o wspólności katolickiej, podeptali sprawiedliwe zasady, odepchnęli Polaków od siebie. Takiej partyi lud polski za swoją uznać nie może.

„Szkoda z powodu niekorzystnych wyborów będzie wielka i niestety obawiać się należy, że my Polacy

najwięcej stracimy. Jeżeli się to jednak stanie, będziemy musieli podnieść oskarżenie przeciwko partyi centrowej, że ona w pierwszym rzędzie winna. O cóż chodziło Polakom? O dobrych posłów, podobających się ludowi, ostatecznie chodziło o jednego jedynego posła. Centrum odrzuciło to skromne żądanie i oddało 3 mandaty w ręce największych wrogów centrowych.

Takiego postępowania lud katolicki i polski nie zrozumie i musi oskarżać centrum. Wybory do sejmu pogłębiły jeszcze więcej przeciwieństwo między Polakami a centrum.“

Korespondent petersburskiego „*Kraju*“ miał rozmowę z p. Siemianowskim, redaktorem postępowego „*Głosu Slązkiego*“, o obecnym stósunku Polaków do centrum na G. Slązku. Z rozmowy tej wyjmujemy poniższy ustęp.

„Dziesiejsze stanowisko centrowe wobec ruchu narodowego jest niemożliwem. Centrum nie chce pod żadnym względem przyznać ludowi polskiemu praw narodowych. I wątpię, czy kiedykolwiek je przyzna. Z drugiej strony, skutkiem niedopilnowania interesów ludu i lekceważenia sprawy narodowej, centrum wywołało w ludzie polskim taką niechęć — można powiedzieć: nienawiść, że polityka centrowa stała się niemożliwą. Lud nasz czuje się coraz więcej polskim, zrywa się do pracy narodowej i domaga się swoich własnych przedstawicieli, Polaków. Przytem hakatyzm ogarnia całe Niemcy i w szeregi jego coraz liczniej wchodzą centrowcy, szczególniej na Górnym Slązku. To zwiększa tylko rozdrażnienie. Centrowcy, chcąc nie chcąc, muszą iść za hakatyzmem niemieckim.

— Czy pan się tej walki z centrum jednak wcale nie obawia?

— Nie. Idąc ręka w rękę z centrum, nie zyskaliśmy na Slązku nawet polskiej nauki religii w szkole, choć posłowie centrowi, gdyby im na tem było zależało, mogli byli tę drobnostkę od rządu zdobyć. Ucisk był, jest i będzie. Na zebrania nasze sali nigdzie dostać nie możemy. Prawo o zgromadzeniach i stowarzyszeniach istnieje dla nas na papierze, nie w praktyce. W wielu kopalniach hutach i fabrykach zakazują robotnikom mówić po polsku. Robotnik kryć się musi z gazetą polską. Trzymając się centrum, nie mogliśmy korzystać z praw konstytucyjnych, gwarantujących swobody obywatelskie. Zerwawszy z centrum, niczego gorszego spodziewać się nie możemy.

„*Socyalizmu* nigdy nie popieramy. Przed pięciu laty w tutejszym okręgu socyalista otrzymał 3 tys. głosów; przy ostatnich wyborach, gdy już powstały pisma o kierunku narodowym, w Gliwicach padło na socyalistę zaledwie 900 głosów. A więc przeszło *2 tys. głosów odbił socyalistom kandydat narodowy.* Zaliż to nie jest dowodem, że *nasz ruch narodowy nie przeszkadza dla socyalizmu, ale przeciwnie, wysuwa mu grunt z pod nóg?*“

O zamiarach centrowców na Górnym Slązku pisze „*Górnoślązak:*“

„Według uchwał zebrania przywódców centrowych, które powzięli tu w Katowicach, ma być rzucona na cały Slązk Górny sieć organizacyi centrowych. Przedewszystkiem mają we wszystkich parafiach, gdzie dotąd nie ma związków, takowe być powołane do życia. Istniejące dziś towarzystwa z nowo powstałemi mają być połączone w jeden związek ogólny obejmujący cały Slązk Górny. W tym celu we wszystkich towarzystwach zostających pod wpływami księży wybierano delegatów i zaproszono do Katowic na przyszłą niedzielę, gdzie ma być związek nietylko towarzystw polskich, ale ma on obejmować także towarzystwa niemiecko-centrowe. Nieraz jużeśmy pisali o tem, że w tych organizacyach centrowych nie ma się żadnego respektu dla woli ludu. Panuje tam bezwzględnie samowola centrowców, dyktatura, spoczywająca w rękach księdza. Także naczelna władza spoczywa w rękach duchownych.

„Można sobie wyobrazić, jakie stosunki by zapanowały na Slązku Polskim, gdyby się duchowieństwu niemieckiemu udało zaciągnąć lud polski do swych organizacyi i ująć cugle polityczne w ręce swoje.“

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Z prowincyi, w listopadzie.

Przy wyborach bądź to do parlamentu bądź to do sejmu, głośno agituje mały i wielki i zapala się tak długo, aż do opuszczenia sali wyborczej. Gdy jedziemy na wybory lub z wyborów to się bardzo cieszymy, że udało nam się przeprowadzić kandydata swego, omawiamy w powrocie do domu gorąco zapał ludowy i cieszymy się, że już dzisiaj naród jest świadomy swoich zapatrywań na sprawy społeczne i narodowe. Zapał ten wkrótce ustaje, a człowiek jak grzeszył tak grzeszy dalej. Już to za dni kilka uważam i patrzę jak to ziarno zasiane zaczyna wschodzić i plony wydawać, lecz plony te idą 50 proc. do tych kieszeni, którzy nas chcą ogłodzić. W naszych miasteczkach są przemysłowcy, rzemieślnicy, kupcy, którzy pod naciskiem się chwieją i nawet starsze zakłady podupadają, a naród z zimną krwią, bez uczucia niesie swój grosz obcym, ażeby bat był na nas mocniejszy. Jeżeli nie przyjdzie pomoc od swoich, to za kilka lat będziecie na pogrzebie naszego przemysłu i handlu, który coraz bardziej się zarywa. Powinnością, obowiązkiem naszym jest dzisiaj iść ręka w rękę w miłości i jedności braterskiej i powinniśmy bez różnicy wszystkich równo popierać.

Kto kocha naród i ojców pamiątki,
Niech się nie usuwa w obce zakątki,
Bo zginie marnie dla idei braci,
Nawet i w niebie zapłatę utraci!

Gorliwy czytelnik „Pracy“.

Wschowa, d. 29 listopada.

Szanowna Redakcyo!

Nadarzyła mi się dnia 15-go z. m. sposobność, być na t. zw. „Volksunterhaltungsabendzie,“ które się tutaj częściej odbywają. Oprócz kilku popisów muzycznych, z których się nieźle wywiązali uczniowie tutejszego seminaryum nauczycielskiego dobrze wywiązali, usłyszałem także mówkę pastora, niejakiegoś pana Dutza z okolicy. Pan ten między innemi tak powiedział:

„Jak już wzmiankowałem, panowie, mamy tutaj w Poznańskiem do czynienia z przeciwnikiem, którego wszelkiemi środkami pieniężnemi nigdy nie przytłumimy, gdyż polski duch narodowy i miłość do starej polskiej Ojczyzny nie dadzą się przytłumić pieniędzmi, ale tylko za pomocą pielęgnowania starych niemieckich zwyczaji, pieśni i tym podobnych rozrywek na wieczorkach ludowych (Volksunterhaltungsabende), jakie mamy tutaj we Wschowie. — — Wracając do „Ostmarkenvereinu,“ muszę powiedzieć, że tylko z mozołem przeciwstawionym być może Towarzystwu Marcinkowskiego, które rocznie z sumą 80,000 marek gospodarzy. Z niego wychodzi cały polski stan średni doktorów, księży i t. d....“

Jak widać ze słów powyższych sami hakatyści przyznają, że i „Ostmarkenzulagi“ nie przyczynią się do germanizacyi Polaków.

Swój.

— ***Walne zebranie wyborcze*** na powiat kępiński odbędzie się w Kępnie na sali p. Staszaka w niedzielę dnia 13 b. m. o godzinie $3^1/_2$ po południu.

Porządek obrad: 1) Ważne sprawy wyborcze. 2) Powitanie posła p. dr. Felicyana Niegolewskiego. 3) Wybór nowego komitetu.

O liczny udział uprasza

Komitet wyborczy na powiat kępiński.



R. Beyschlag.

NIEBEZPIECZNA CIEKAWOŚĆ.

Album „Pracy". Drukiem „Pracy".

Dział illustrowany.

Ś. p. Józef Głębocki.

Uczuciom naszym wobec niespodziewanego zgonu ś. p. Józefa Głębockiego i poglądom naszym na działalność jego dajemy wyraz na innem miejscu, tu ograniczamy się na krótkim życiorysie zmarłego.

Śp. Józef Głębocki ur. się we wsi Czerlejnie, dnia 17-go marca 1856 r. z ojca Jana Nepomucena i matki Wiktoryi z Żórawskich. Zarządzając swym majątkiem ojciec śp. Józefa równocześnie administrował dobrami Psarskie, należącemi do śp. hr. Franciszka Kwileckiego.

Najpierw uczęszczał zmarły do szkoły ludowej, potem do poznańskiego gimnazyum Maryi Magdaleny, gdzie miał wielu przyjaciół pomiędzy kolegami. Od ławy szkolnej też łączyły go z wielu obywatelami węzły sympatyi, których różnice w zapatrywaniach politycznych nie rozerwały.

Ukończywszy studya gimnazyalne ś. p. Józef poświęcał się studyom historyi i geografii na uniwersytecie wrocławskim przez lat pięć, poczem objął po ojcu Czerlejno, które kilka lat temu oddał w ręce rodaka.

W r. 1893 został wybrany posłem do sejmu z powiatów średzkiego i śremskiego a w pięć lat później także posłem do parlamentu. Że w obu izbach odznaczył się jako dzielny szermierz parlamentarny dobrze wszystkim wiadomo.

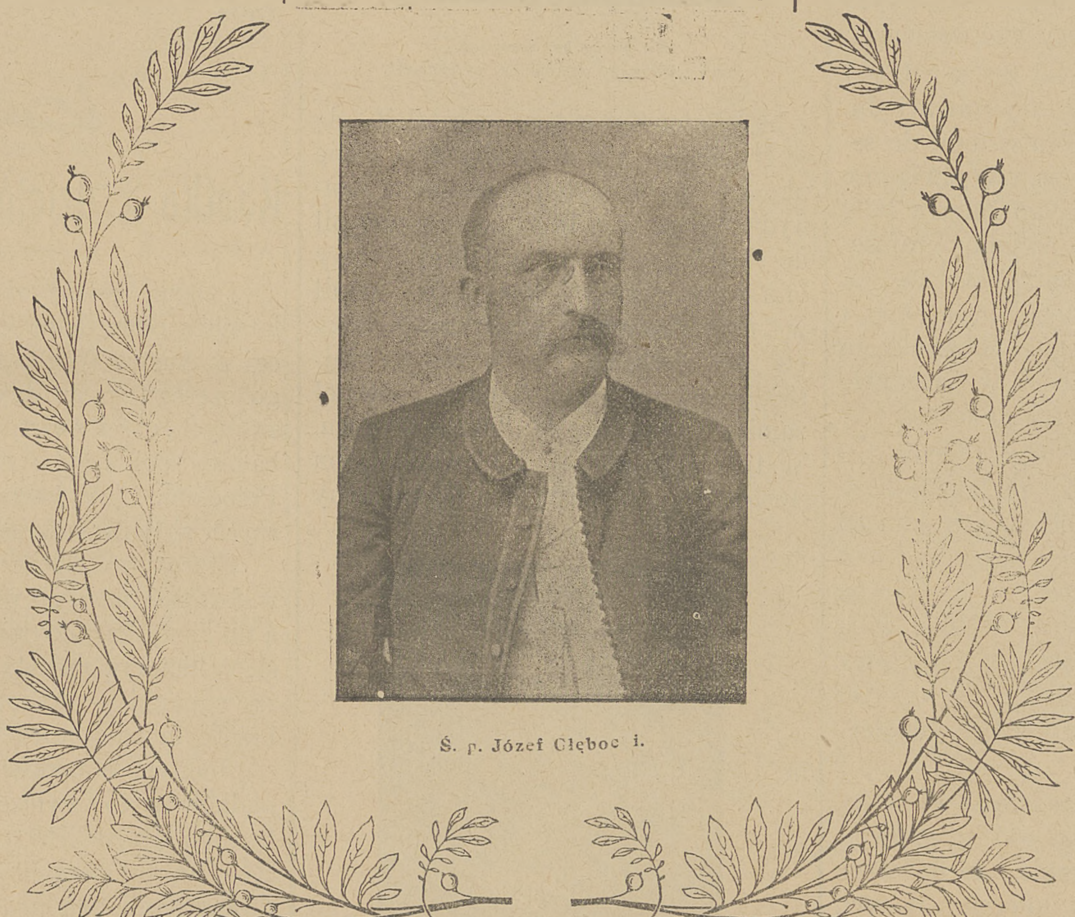
Niemniej na niwie publicystycznej ujawnił swe wybitne zdolności i swój charakter polityczny. Przez krótki czas był naczelnym redaktorem „Dziennika Poznańskiego“ po śmierci Franciszka Dobrowolskiego, w ostatnich latach zaś pisywał wyborne sprawozdania z izb parlamentarnych do „Kuryera Poznańskiego“, z którym zerwał stosunki, gdy pismo to weszło znowu na tory ultramontańskie. Nadto korespondował do pism zakordonowych.

Mieszkając w Kórniku oddawał się gorliwie studyom, tak, iż nadmiar pracy umysłowej oraz nieprzyjemności, na jakie był wystawiony w wirze walki politycznej ze strony antagonistów, przyczyniły się zapewne niemało do nagłej jego śmierci.

W piątek dnia 27 listopada padł na ulicy Podgórnej w Poznaniu rażony paraliżem i zanim dowieziono go do lazaretu ducha wyzionął.

R. i. p.

W.



Ś. p. Józef Głęboc i.

Nowi Dostojnicy Kościoła.

Na konsystorzu papiezkim, jaki odbył się w ubiegłym miesiącu, J. E. biskup płocki, hr. Jerzy Szembek, mianowany został arcybiskupem metropolitą mohylowskim. Równocześnie J. E. biskup tyraspolski, baron Edward Ropp, przeniesiony został ze stolicy biskupiej w Saratowie do Wilna.

J. E. Jerzy hr. Szembek urodził się dnia 14-go czerwca 1851 roku w Ujściu na Podolu, z ojca Józefa i matki Józefy z hr. Moszyńskich. Potomek rodziny magnackiej, nie zamierzał początkowo poświęcić się stanowi duchownemu. Ukończywszy gimnazyum św. Anny w Krakowie, studyował filozofię w uniwersytecie jagiellońskim, poczem przez lat kilka podróżował po Europie, a wróciwszy do kraju, objął zarząd majątków rodzinnych na Podolu i na Polesiu wołyńskiem.

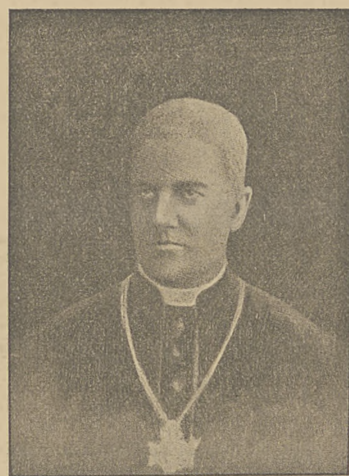
Mając już prawie lat 40 (w r. 1890) postanowił poświęcić się stanowi duchownemu i w tym celu wstąpił do seminaryum w Saratowie. Wyświęcony na kapłana w dniu 19-go marca 1892 roku, był przez czas niejaki profesorem w seminaryum saratowskiem, poczem otrzymał godność proboszcza i dziekana saratowskiego. Sześcioletnia działalność ks. Szembeka w Saratowie pozostawiła po sobie trwałe owoce.

W kwietniu r. 1901-go obecny metropolita mohylowski prekonizowany został na biskupa płockiego, a dnia 30 czerwca tegoż roku odbyła się ceremonia konsekracyi nowego dostojnika Kościoła. W pierwszej połowie lipca J. E. ks. Szembek zasiadł na stolicy biskupiej płockiej, jako 84-ty z rzędu pasterz tej dyecezyi, a trzeci tego samego nazwiska.

Katedra płock zawdzięcza J. E. ks. Jerzemu hr. Szembekowi gruntowną odnowę i przywrócenie do dawnych wspaniałych form stylowych. W tych dniach właśnie roboty główne ukończono i odnowiony tum prastary otwarto w niedzielę dnia 15-go z. m., w którym to dniu w przebudowanej świątyni Pańskiej pierwszy raz odbyło się nabożeństwo.

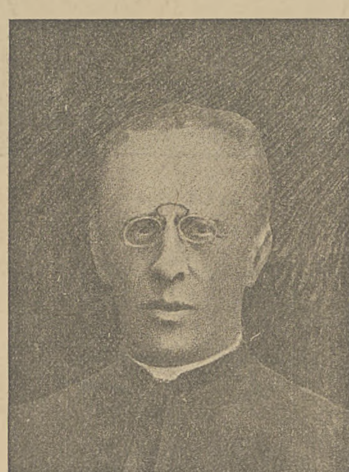
Dbały o dobro dusz w powierzonej jego pieczy dyecezyi, J. E. ks. Szembek nie szczędził starań i zabiegów, badał osobiście potrzeby wielu kościołów i parafii, oraz wydał szereg rozporządzeń, dotyczących porządku podczas nabożeństw, śpiewu kościelnego, stosunku proboszczów do wikaryuszów i t. d. Dyecezya płocka z wielkim żalem rozstaje się ze swym pasterzem, życząc mu jak najdłuższych lat pomyślnych na nowem, a zaszczytnem stanowisku.

J. E. ks. Edward baron Ropp, dotychczasowy biskup tyraspolski, świeżo mianowany biskupem wileńskim, urodził się w Liksnie, w powiecie dźwińskim dnia 2-go grudnia 1851 roku z ojca Juliusza i matki Izabelli



Ks. Jerzy hr. Szembek,
nowo mianowany metropolita mohylowski.

z hr. Plater-Zyberków. Kształcił się w Dźwińsku i w Petersburgu, gdzie ukończył uniwersytet ze stopniem kandydata praw w r. 1875, poczem wstąpił do służby rządowej, w której cztery lata przebywał. Następnie osiadł w dziedzicznym majątku Niszczy (w gub. witebskiej). W ciszy wiejskiej, oddany rozmyślaniom, powziął zamiar poświęcić się duszpasterstwu. W tym celu wstąpił do seminaryum duchownego w Kownie. Wyświęcony



Ks. Edward baron Ropp,
nowo mianowany biskup wileński.

na kapłana w roku 1886-tym, udał się do Insbruku na studya teologiczne. Po powrocie, w r. 1889-tym objął stanowisko proboszcza w Libawie, na którem przez lat trzynaście przebywał. W r. 1893-im mianowany dziekanem kurlandzkim, w r. 1896-ym otrzymał godność kanonika gremialnego katedry żmudzkiej.

We wrześniu 1902 r. J. E. Edward baron Ropp prekonizowany został na biskupstwo tyraspolskie i tamże wkrótce rozpoczął pracę pasterską, która zjednała mu w ciągu tak krótkiego czasu ogólną miłość i szacunek.

Przystępny dla wszystkich, prostotą i serdecznością ujmował każdego, kto się doń zbliżył. Duchowieństwo miejscowe znalazło w swym pasterzu nietylko zwierzchnika, ale najserdeczniejszego przyjaciela, którego radom i wskazówkom wiele zawdzięcza. Niezmordowany w pracy kapłańskiej, czynny wciąż, nietylko w zakresie duchownym, ale i na polu filantropii, dawał z siebie wzór pracowitości, wytrwałości i należytego spełnienia obowiązków.

Opuszczając Saratów, J. E. ks. biskup Ropp pozostawia po sobie najpiękniejsze wspomnienie i żal ogólny, równocześnie jednak przeniesieniu J. E. na stolicę biskupią wileńską towarzyszą życzenia, z głębi serc pochodzące.

Z.

Kartka z dziejów Łańcuta.

Łańcut, głośny w ostatnich paru latach z odwiedzin członków panującej w Austro-Węgrzech familii, i całego szeregu urządzanych na cześć dostojnych gości świetnych uroczystości, balów, polowań — obecnie własność Potockich, jest jedną z najwspanialszych siedzib magnackich w Galicyi.

Starożytny zamek łańcucki, różne w dziejach naszych przechodził koleje, a na karty kroniki jego złożyły się ściśle z historyą narodu naszego związane wypadki — doniosłe, świetne a nie brakło także ponurych...

Jednym z takich doniosłych wypadków — to związek małżeński potężnego króla Władysława Jagiełły z Elżbietą z Pileckich Granowską, ówczesną panią zamku i przyległych włości. Zanim jednak do opisu tego, dosyć niezrozumiałego małżeństwa króla z leciwą już i suchotniczą „babą“ — jak ją jeden z kronikarzy naszych nazywa — przystąpię, skreślę pokrótce historyę Łańcuta.

Kiedy tą miejscowość, położona w powiecie tego samego nazwiska, a w danym okręgu rzeszowskim, przy gościńcu, prowadzącym ze Lwowa do Krakowa, pierwszych otrzymała mieszkańców, trudno dokładnie oznaczyć. Zdaje się jednak, że początek dał jej Kazimierz Wielki, który, uznając błogie skutki kultury w ościennych krajach, sprowadził w tę niezwykle urodzajną okolicę Niemców, rozdał mię-

dzy nich odłogiem leżące pola, potworzył osady i przybylców obdarzył daleko idącymi przywilejami. Potwierdzeniem tego mogą być dawne akty, umowy, spory sądowe, opisywane w języku niemieckim ,a także sama nazwa Łańcut, jakby od niemieckiego *Landshut* pochodząca. Rękopis kościoła Krzemienieckiego, na podstawie metryk koronnych, czas założenia Łańcuta i sąsiednich osad na r. 1349 oznacza. Bardzo więc być może, że Kazimierz Wielki w tym właśnie czasie Adelajdę, córkę heskiego landgrafa za żonę pojąwszy, tytułem kompensaty za skromny bardzo posag, osadników tych z krajów teścia swego sprowadził. Bądź co bądź, jakkolwiek trudno oznaczyć dokładnie miejscowość, zkąd osadnicy ci przybyli, czy sprowadzeni zostali, nie ulega żadnej wątpliwości, że pochodzili oni z północnych Niemiec, o czem świadczy tradycya rozpowszechniona między mieszkańcami Łańcuta i jego najbliższej okolicy i zabytki używanego niegdyś przez nich języka.

Tyle o powstaniu Łańcuta.

Pierwszym jego dziedzicem był Otto z Pilczy, herbu Topór, wojewoda sandomierski, któremu Kazimierz Wielki zamek łańcucki i okalające go olbrzymie włości nadał w nagrodę trudów wojennych.

W rodzinie, bądź po mieczu, bądź po kądzieli, Pileckich pozostaje Łańcut do roku 1578, w którym go Krzysztof Pilecki Annie z Sienna, córce kasztelana halickiego, a swojej małżonce zapisuje. Anna czyni zamianę ze Stanisławem Stadnickim, starostą zygwulskim, mocą której staroście dostaje się Łańcut, a Pileckiej oprócz gotówki, Nienadowa, Irkań i t. d. Stadnicki ten z powodu swego bezprzykładnego zuchwalstwa, Dyabłem zwany, z obawy iż do rokoszu przeciw Zygmuntowi III. należał, iż go po kraju całym przez uchybiające królowi pisma szkalował, a gwałtów i najazdów był sprawcą — za co go sądy na bezczynność i wywołanie z kraju skazały — aby dóbr nie utracić, Łańcut synom swoim roku 1606 odstąpił. Z tych czasów to datuje się najczarniejsza karta w dziejach Łańcuta. Wtedy to staje się on gniazdem łotrostwa, siedzibą hultajów, wywołańców, marnotrawców, składem łupieży, turmą krzywdzonych ziemian. Wtedy to Stadnicki więził Przyjemskiego, sąsiada Opalińskiego i tylu innych ofiar swoich gwałtów, swego rozwydrzenia. Księży katolickich wypędził, kacerzami kościoły osadził, w klasztorze Dominikanów mennicę założył i, urągając prawu i słabym rządom, bił ze swoich i złupionych sreber pieniądze. Śmierć nakoniec, którą poniósł 14-go sierpnia 1610 roku w utarczce ze zbrojnym ludem Łukasza Opalińskiego, marszałka w. k., starosty leżajskiego, pod Tarnowcem, przecięła pasmo dni szkodliwego dla kraju żywota tego niesłychanego wszelkich praw gwałciciela. Po śmierci Stadnickiego wywiązał się gwałtowny spór pomiędzy jego synami a Sienińskimi. Parę lat trwały najazdy, i w roku 1615 dopiero trybunał dobra te przyznał Stadnickim, którzy się jednak niedługo przy nich utrzymują, gdyż znękani karami sądowemi, kondemnatami, długami, sprzedają je w końcu Stanisławowi Lubomirskiemu, późniejszemu wojewodzie ruskiemu (1629) za 250,000 złp.

Stanisław Lubomirski sprowadzonych przez Stadnickiego kacerzy ruguje, kościoły katolickie oddaje, klasztor Dominikanom powraca, a zamek według planów Uffona zbudowany w nowe działa, amunicyę, puszkarzy i zapas żywności dla załogi na trzy lata zaopatrza. Czterysta piechoty zbrojnej z włościan dla obrony zamku organizuje. Czterysta beczek wina dla szlachty i przyjaciół w piwnicach zamkowych stale utrzymuje. Po jego śmierci przechodzi Łańcut na księcia Jerzego Lubomirskiego marszałka w. k. i hetmana polnego, którego dworu przepych równał się królewskiemu. Pod względem okazałości i zbytku sławne odbyło się tutaj w r. 1661 wesele Felicyana Potockiego, starosty krakowskiego, syna Stanisława, wojewody krakowskiego i hetmana w. k. z córką księcia Jerzego. Więcej może jeszcze wspaniałości w przyjęciu okazał książę Jerzy, przyjmując w r. 1657 króla Jana Kazimierza.



Część zamku w Łańcucie.

Z klęsk, jakie nawidziły Łańcut, pamiętny jest pożar wzniecony przez Tatarów w r. 1499. Ciż Tatarzy pustoszą go znów w r. 1503, a w r. 1624 większa część mieszkańców dostaje się do niewoli, albo zostaje wyrżniętą.

W roku 1657 dobywa zamku Rakoczy ze Szwedami, odpiera ich jednak waleczny Pniewski.

W roku 1567 odbył się w Łańcucie sobór różnowierców w celu zawarcia układu zgodnej nauki. Układy jednak spełzły na niczem.

W roku 1705 obozował tu długo August II, odbywając często rady wojenne.

Tutaj także stany koronne i litewskie zaprotestowały przeciw wyborowi na króla Stanisława Leszczyńskiego.

Otto więc z Pilczy, jak wiemy, był pierwszym dziedzicem Łańcuta, a spadkobierczynią jego, jedyna córka Elżbieta, po trzecim mężu Granowska.

Pani ta w panieństwie już, jako bajecznie bogata jedynaczka, była przedmiotem krwawych, między obcymi nawet, o rękę swoją zabiegów.

Według Długosza, pierwszym pretendentem do ręki bogatej dziedziczki, po śmierci jej ojca, był pewien Morawczyk, nazwiskiem Wisław, człowiek małego znaczenia, który sądząc, że zuchwałym postępkiem potrafi sobie świetny los zapewnić, porywa Elżbietę i uprowadza ją do swojej ojczyzny. Niedługo jednak Wisław cieszy się Elżbietą. Janczyk z Giczyna, herbu Odrowąż ,magnat morawski, odbiera mu pannę i sam z nią śluby małżeńskie następnie zawiera, Wisław udaje się do Krakowa i tam, praw swoich dochodząc, nazywa Janczyka cudzołożnikiem a Elżbietę swoją prawą małżonką. Janczyk grozi, widząc jednak, że groźbami nie pozbędzie się rywala, przybywa potajemnie z dwunastu zbirami do miasta i wychodzącego właśnie z łaźni Wisława zabija.

Utorowawszy sobie w ten sposób drogę, staje Janczyk za przyzwoleniem króla na ślubnym z Elżbietą kobiercu, wkrótce jednak sam umiera.

Spytek z Melsztyna, bliski krewny Elżbiety, chcąc dopomódz Wincentemu Granowskiemu, jednego z nim herbu, a ubogiemu młodzieńcowi, wbrew woli Toporczyków, wyswatał ją następnie za niego.

Według Błażowskiego znów, który stając w obronie czci późniejszej królowej, zarzuca Długoszowi i z nim Kromerowi, że powtórzyli to, co zazdrość złośliwa na nią wymyśliła, Elżbieta nigdy przez żadnego Morawianina nie była porywana, ale wprost Olbrychtowi, księciu Cieszyńskiemu została poślubiona, po jego zaś śmierci wyszła za Granowskiego, kasztelana halickiego, generalnego wielkiej Polski starostę. Gdy i ten umarł: „fortuna na upodobanie królowi Władysławowi podawszy ją, co rychlej małżonkę z niej zdziewosłębiła i królową Polski koronowała.''

Bądź co bądź, faktem pozostanie, że nadobna a bogata dziewica, musiała zwrócić na siebie uwagę niejednego młodzieńca, a śmielsze może którego z nich zabiegi dały później powód do stworzenia złośliwej o niej baśni, ażeby tym sposobem odwieść króla od powziętego postanowienia, albo też zemścić się na nim za krok samowładny, uczyniony wbrew woli całej niemal Rady.



B. Zickendraht. STUDYUM.

I w dziejach literatury pozostawia Łańcut również po sobie wspomnienia. Tu urodził się matematyk Jan z Łańcuta (De algorithmo r. 1519), ztąd pochodzi uczony krakowski, Wojciech z Łańcuta, ztąd wreszcie z wielu pism znany, Stanisław książę Lubomirski, marszałek w. k., zmarły r. 1702.

Dziś w posiadaniu Romana hr. Potockiego, nie stracił nic Łańcut na swoim charakterze prawdziwie magnackiej siedziby i dziś, jak ongi, imponuje przepychem w przyjęciach rodziny monarszej.

* * *

Kiedy w r. 1400 król Jagiełło, po zawojowaniu miast pruskich, w zarząd je wodzom swoim rozdawał, Toruń dostał się Wincentemu Granowskiemu, gdzie, jak utrzymują niektórzy historycy, został otruty. Po jego śmierci, Elżbieta przygasłymi już bardzo wdziękami tak potrafiła jeszcze zająć Jagiełłę, że ten, po stracie żony swej Anny, wnuczki Kazimierza Wielkiego, postanowił ją poślubić. Dziewosłębiła Elżbiecie Aleksandra, księżna mazowiecka, małżonka Ziemowita młodszego a rodzona siostra Jagiełły. Zajechały one obie drogę królowi, wracającemu z Litwy, w Lubowli, w ziemi Chełmskiej (1417), gdzie podczas zapust ułożono małżeństwo. Król, odjeżdżając z Lubowli, obdarzył narzeczoną drogocennymi podarkami w futrach i kosztownościach, co ostatecznie sprawiło, że tajemnie prowadzone układy nie uszły uwagi niechętnie dla zamiarów króla usposobionych dworaków.

Postanowienie króla przypisywano wyrafinowanym zaletom Elżbiety a nawet skutkom miłosnego napoju i czarom, zdaje się jednak, że poza sprytem Granowskiej, ważną tutaj rolę odgrywała odmowa, z jaką się król spotkał

wówczas ze strony Anny, córki Karola IV czeskiego a wdowy po księciu Brabanckim. Król, żeniąc się z Elżbietą, chciał w ten sposób zemścić się, upokorzyć córkę cesarską, stawiając ją na równi z polską szlachcianką.

Król, spędziwszy jeszcze parę dni, po widzeniu się z Elżbietą w Lubowli, na polowaniu w Chełmszczyźnie, pomimo zamieci śnieżnych i wbrew pierwotnemu planowi, podążył, kołując na Sandomierz, Nowe Miasto, Jasło, Tyczyn, do Łańcuta. Pani zamku rada dostojnemu gościowi, nie szczędziła na przyjęcie. Dwa dni pobytu króla były jednym szeregiem uczt. Wysilała się we wspaniałości gospodyni, pragnąc przypodobać się oblubieńcowi, pozyskać przychylność przyszłych swoich poddanych.

Święta Wielkanocne r. 1418 spędza król we Lwowie, skąd, wysławszy Jana Mązika z Dąbrowy do Witolda na Litwę z zawiadomieniem o blizkim związku, sam udaje się do Sanoka. Tutaj na rozkaz króla przyjeżdżają Jan Rzeszowski, arcybiskup lwowski, Wojciech Jastrzębiec, biskup krakowski, Jan, biskup chełmski, Krystyn z Ostrowa, kasztelan, Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, Zbigniew z Brzezia, marszałek koronny, Piotr Szafraniec, podkomorzy krakowski, i wielu innych, nie domyślając się nawet powodu wezwania. Przybywają także Aleksandra, księżna Mazowiecka z Elżbietą. W niedzielę w dzień św. Zygmunta zwołuje król radę, zwiastując jej swoje postanowienie. Na nic się nie zdały prośby zgromadzonych panów, na nic wszelkie przedstawienia niestosowności podobnego związku. Arcybiskup lwowski, Jan Rzeszowski, pobłogosławił królewskiej parze w kościele parafialnym w Sanoku. Po ślubie, najniespodziewaniej, gdyż ranek zupełnie był pogodny, zerwała się szalona zamieć śnieżna, zapowiadając niejako, że pożycie małżonków nie jedna burza zakłóci. Nadto, gdy Elżbieta do zamku wracała, złamało się koło w karocy, tak, że królowa dalszą drogę po grzązkiem błocie piechotą przebyć musiała. A więc druga zła wróżba.

Z Sanoka wyruszyła królewska para do Lwowa a stamtąd na Boże Ciało do Halicza. W powrocie zostawił król małżonkę we Lwowie, a sam zboczył nad Bug do Dobrodworu, na spotkanie z Witoldem, który również nie pochwalił małżeństwa. Poczem dopędził król żonę w Medyce i zawitał z nią razem do Łańcuta.

Władysław, jakby nie śmiąc pokazać się z żoną w stolicy, przez dłuższy czas po ślubie odbywa z nią ciągłe po kraju podróże. Nieustannie się z nią z miejsca na miejsce przenosi. Pilzno, Biecz, Sącz, z Sącza na Wniebowzięcie do Niepołomic a stąd znów po tygodniowym pobycie w ziemie lubelskie.

Złe wróżby rychło zaczynają się spełniać.

Krzyżacy, korzystając z nastręczającej się sposobności, wysyłają do cesarza Zygmunta posłów z przedstawieniem niestosowności związku uwłaczającego prawom Kościoła. Przedstawienie swoje opierali na tem, że między Elżbietą a Jagiełłą zachodziło istotnie pokrewieństwo duchowe, gdyż matka jej Jadwiga była chrzestną matką króla. Wysłany dopiero do Konstancyi Jędrzej z Kokoszyna, nie bez trudności, usunięcie tej przeszkody kanonicznej uzyskał.

Jesień spędzili królestwo w Łańcucie, skąd, oznaczywszy dzień koronacyi na św. Elżbietę, zjechali nareszcie do Krakowa. Aktowi temu napróżno sprzeciwiała się Rada, a zwłaszcza Sędziwój Ostroróg, wojewoda poznański. W nieobecności biskupa gnieźnieńskiego, bawiącego podówczas na soborze w Konstancyi, koronacyi dokonał Jan Rzeszowski, arcybiskup lwowski. Nowe to dostojeństwo zwiększyło szeregi nieprzyjaciół Elżbiety. W małżeństwie tem zaczęto upatrywać przyczyny nieszczęśliwych wypadków. Pewnego razu, podczas jednej z podróży króla, piorun zabił dwóch ludzi z jego orszaku i wszystkie niemal konie u karocy. Zbigniew Oleśnicki, sekretarz królewski a naoczny świadek tego wypadku, powiedział wówczas przesądnemu Jagielle, że to Bóg grom ten na przyganę związku jego zsyła.

Zmartwienia, intrygi nieustanne nieprzyjaciół, coraz więcej podkopały i tak wątłe zdrowie królowej. Mimo to, Elżbieta, nie zadawalniając się własnem wyniesieniem, zapragnęła go także dla syna — Jana Granowskiego. Wymogła dla niego niezwyczajny wówczas w Polsce tytuł hrabiego. Przywileju tego jednak, naruszającego równość szlachecką, nie chciał pieczętować Wojciech, biskup krakowski, podkanclerzy koronny.

Elżbieta, widząc zabiegi swoje zniweczone, zapałała zemstą. Buntuje króla, by niemiłych jej posłanników do cesarza Zygmunta za złe załatwienie poselstwa o poprawienie wyroku w sprawie z Krzyżakami, przed sąd do Łęczycy zapozwał. Stają też Wojciech Jastrzębiec, biskup krakowski, Zbigniew z Brzezia, marszałek koronny i Jur Zaremba Tuliszkowski, kasztelan krakowski; a chociaż już królowa umarła, takie między szlachtą zawrzało nieukontentowanie, że o mało do krwawych rozruchów nie przyszło. Janowi Tarnowskiemu dopiero udało się burzę zażegnać i króla z biskupem Jastrzębcem i jego towarzyszami pojednać.

Elżbieta zeszła z tego świata w niedzielę przed Wniebowstąpieniem roku 1419. Zwłoki jej pochowane w katedrze krakowskiej. Zgon jej u nikogo prawie nie wywołał żalu, przeciwnie, uradował wielu. Kroniki wspominają, że po jej śmierci wyprawiano wesołe bankiety.

Kłośnik.

„Ja nie rzucam swej duszy pytania...“

Ja nie rzucam swej duszy pytania,
Które świata zagadką jest ciemną:
Czy mgła, która dzień jutra osłania,
Złotem słońcem zabłyśnie przede mną?
Czy to życie przed sobą ma wieczność,
Czy się wielką zawali mogiłą?
Idę, jakby tam była słoneczność,
Jakby szczęście za mgłami tam było.

Ja wierzącym nie odbieram złudzeń —
Złudzeń, które nicość życia słonią —
Niech im żywot przejdzie bez przebudzeń,
Kwiat mistyczny upaja wciąż wonią.
Jeśli Prawda ma boleści znamię
I rozpaczą ludzkie czoła orze —
Przeciw Prawdzie najbezczelniej skłamię
I świadectwo pieczęci położę.

Ja nie targam się w bezsilnym zgrzycie
Przeciw gromom, co mi w łono biją,
Przeciw mękom, które niesie życie,
Przeciw prochom, które groby kryją —
Z bólem w duszy i sercem rozbitem,
Zapatrzony w nieba marmur chłodny,
Idę... mówiąc, że tam za błękitem
Jest świat cichy, jasny i pogodny.

Kazimierz Gliński.

Listy z nad jezior mazurskich.

VI.

(Ruczany. — Handel drzewny. — Jezioro Dolne. — Puszcza jancborska. — W jej sercu. — Topich. — Królestwo sosny i ciszy.)

Jadąc z Szczytna w stronę Ełku pociąg coraz to nurza się w ciemne szpalery drzew, potem tonie w jakimś bezgranicznym, iglicowym lesie i zatrzymuje się na zacisznej polanie, na której spoczywają malowniczo rozrzucone wille i domostwa.

Jesteśmy na skraju puszczy jancborskiej w Ruczanach (Rudczanny) tak nazwanych od ruczaju, który opodal, w nizinie spaja jezioro Guszyńskie z Dolnem. Położone dość wysoko Ruczany stanowią stacyę klimatyczną i ulubione ustronie dla letników, których rok rocznie napływa znaczna liczba. Jedynie kilka tartaków i niekiedy silny zapach z smolarni przypomina nam, że i tu człowiek nie spoczywa.

Handel drzewny kwitnie w tych stronach. Dawniej napotykał na wielką zaporę wskutek braku dróg transportowych, lecz rząd przyszedł mu w pomoc, łącząc ogromny kompleks jezior w jedną całość kanałami. Chociaż drzewo nie ma jeszcze spławu do „Przyrośla" i t. p. położonych na przeciwległym brzegu jeziora, zdradzają „puszczę."

Puszczą jancborską czyli janowską (Johanisburger Heide) zwie się olbrzymi kompleks lasów, największy w Niemczech, a obejmujący według urzędowych obliczeń 964,45 kwadr. kilometrów. Jest ona pozostałością pasu leśnego, ongi 75 kilometrów szerokiego, który Krzyżacy posadzili wzdłuż granicy od Wisły aż do Niemna jako zaporę przeciwko najazdom.

Lasy te ciągną się dziś nieprzerwanym szlakiem na pograniczu od Rosogi aż do rzeczki Pisy, dawniej Pyszem zwanej, która pod Jancborskiem wody jeziora Rosz sprowadza do Narwi. wia, pod strażą potężnych sosien spoczywają stawy te martwe jakieś, senne jakby nakryte pleśnią zamierzchłych czasów. Wieje od nich urok pogańskich mytów, klecht i podań starodawnych o czarownicach, wilkołakach, chobołdach, krasnoludkach, o demonicznych duchach wodnych t. zw. topichach, jakimi bogata fantazya mazurskiego ludu zaludniła lasy.

Według wierzenia ludowego każdy obszar wody ma swego topicha, a zwykle niebezpieczne, głębokie miejsca bywają ich siedliskiem. Jeźli topich, wyobrażany w postaci chłopca w czerwonej czapce, wynurzy się z toni i zaklaszcze w dłonie trzy razy, wtedy ktoś tonie.



Krajobraz z nad ezior mazurskich.



Kanał w Ruczanach

morza ośm wielkich parowych berlinek i około stu łodzi przewozi je do Lec i Węgoborka. A kolej „południowa," dodała nowego bodźca tej głównej gałęzi przemysłu.

Pominąwszy doniosłość, jaką kanały posiadają dla handlu, przyczyniły się one niezmiernie do zwiększenia frekwencyi turystów, a właśnie te wody i okolice pociągają szczególnemi pięknościami natury.

Przez wązki kanał ruczański, nad którym widnieje żelazny most kolejowy, wypływamy na błękitną toń jeziora Dolnego (Nieder-See), opasanego potężnym łańcuchem wspaniałego boru na wzgórzach. Wyspy zadrzewione niby olbrzymie bukiety strzelają w górę, w zatokach chwaszczą trzciny i kołyszą się lilie wodne, a w przestrzeni, po nad tym głębokim w tonie krajobrazem unoszą się miryady wodnego ptactwa.

Wioska Nieden rozsiadła nad brzegiem jest ostatniem siedliskiem ludzkiem z tej strony puszczy, którą wody jeziora przecinają kilkomilową wstęgą. Nazwy wsi jak „Wielki Las," W pobliżu Ruczan puszcza rozprzestrzenia się na północ i ciągnie równolegle z zachodnim brzegiem Śniardwy aż do Mikołajek (Nikolaiken) po wydmach piaszczystych, w których grzęzną koła po osie.

Niegdyś był to kraj obiecany dla myśliwca. Pod koniec siedemnastego wieku mieszkały w nim żubry, łosie, jelenie, wilki, a nawet niedźwiedzie i dzikie konie, które jednak wkrótce wyginęły. W sto lat później znikły żubry i niedźwiedzie. Na początku ośmnastego wieku polował tu August Mocny z królem pruskim i wówczas ubito 400 sztuk łosiów, które jeszcze przed pół wiekiem można było napotkać w puszczy. Dziś nie ma wcale grubego zwierza. Snuje się wszakże mnóstwo sarn, którym zagrażają wilki zbiegle z Polski, oraz zajęcy. Za najlepsze okręgi myśliwskie uchodzi okolica Mikołajek i Pieczysk.

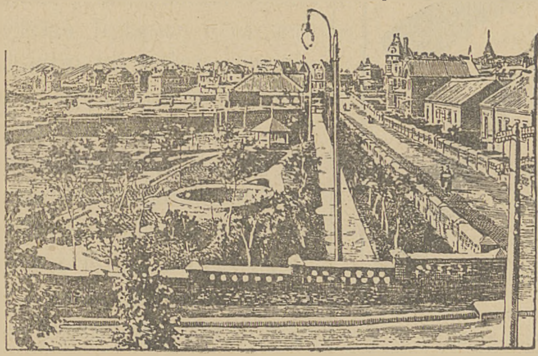
W głębi puszczy wielokrotnie napotykamy na moczary, oparzeliska i stawy zarosłe, o ciemnych, tajemniczych wodach i ponurym wyglądzie. Ujęte w wianek olchów, trzcin i sito-

Nad wodami stróżują olszyna, graby lub brzozy przeglądając się w zwierciadle a dalej znowu tylko — sosna, drzewo wschodu, królujące tu niemal niepodzielnie na całym obszarze. Są tam partye drzew liczących 150 lat i więcej i dochodzących do czterdziestu metrów wysokości, a najstarsze nawet cieszą się pełnem zdrowiem i dumnie noszą niebotyczne korony.

Jakże nikłym czuje się człowiek u stóp tych olbrzymów co niby maszty strzelają ku słońcu, jakże opuszczonym w tej niemal dziewiczej, bezludnej puszczy, gdzie nic nie przypomina świata i nic nie zdradza ręki ludzkiej. Jesteśmy tam w innym świecie, który żyje odrębnem życiem, bez troski, bez walki i stanowi w sobie zamkniętą, zwartą całość. Dla tego zakradłszy się w serce lasów ogarnia nas uczucie czci dla poważnej przyrody i niby intruzi z odcieniem lęku wsłuchujemy się w tajemnicze szmery snujące się gdzieś hen nad głową, niepochwytne, dziwne. Jakby w zaczarowanem kole błądzimy po trawach, mchach i łożyskach wrzosów fioletowych, nurzamy

się w bezbrzeżnej zieleni, odnajdujemy włókna duchowe zespalające nas z przyrodą, bratamy się z nią aż wstępuje w nas coś z tej boskiej ciszy, co matczynem ramieniem oplatając dusze daje im zapomnienie, pokój, pogodę i uśmiech zarannego słonka.

Wypoczywamy na łonie natury, Rozwiewają się obrazy i milkną echa z ludzkich mrowisk, rozprzęgają się w duszy nici pragnień ludzkich, a



Park miejski w Dalnym.

z niemi zaprzepaszcza się wszystko co małostkowe, co nizkie, znikome, co ludzkie. Zatraciwszy cząstkę z swego ja wobec przygniatającego majestatu natury, padamy przed nim owiani zefirem nieziemskiego pokoju, wyniesieni po za ramy ludzkiego bytu.

Ukołysani harmonią dziwnej rozmowy drzew, zahypnotyzowani zielenią, wczarowani w cudny świat przyrody, przelewamy duszę w istotę wiekowego bytu i odbieramy w zamian coś z jego duszy i tak wstępujemy w zaświaty gdzie mieszka dobroć i wielkość. (C. d. n.)

Roman Rola.

Nasze illustracye.

R. Beyschlag. — Niebezpieczna ciekawość. Beyschlag, malarz rodzajowy niemiecki ur. 1809 w Jullich, um. 1863 w Beyreuth. Uczeń akademii w Düsseldorfie. Obrazy jego cechuje nadzwyczajna żywość i znakomita charakterystyka; unaocznia nam to illustracya albumowa.

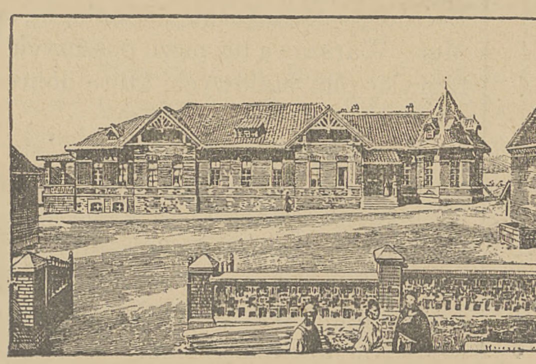
* * *

B. Ziekendrath. — Studyum. Ziekendrath, malarz współczesny niemiecki, ur. 1847 w Dessau, celuje jako portrecista, oraz twórca obrazów religijnych. Dzieła jego odznaczają się głęboką charakterystyką i wytwornością wykończenia. *—ski.*

Na Dalekim Wschodzie.

Oczy świata całego zwrócone są obecnie na Daleki Wschód, gdzie w ciągu kilku dziesiątków lat zaszły zmiany tak poważne. Początek dała Japonia, przekształcając się nagle i z państwa wschodnio-azyatyckiego przedzierzgając się w formy europejskie. Dziś Japonia już odczuwa u siebie ciasnotę i ogląda się w koło, czy nie znajdzie gdzie nowych nabytków, nowych posiadłości, na których mogłaby osadzić nadmiar swych mieszkańców. Za późno. Wiek XX zastał już całą prawie kulę ziemską zajętą przez liczne narody.

Świeżo wykończona kolej syberyjska, łącząca Europę ze wschodniemi krańcami Azyi, również przyczyniła się do ożywienia Wschodu. Dziś ma

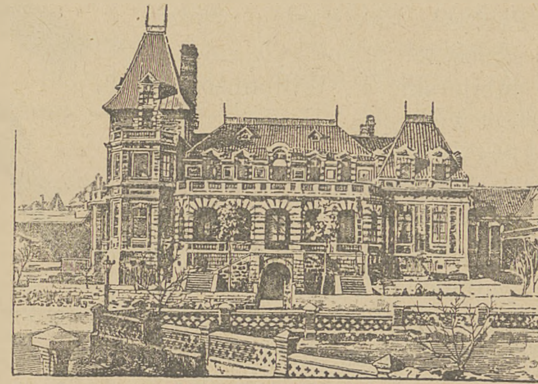


Szpital w Dalnym.

on inny wygląd niż przed laty kilku. Między innemi tam, gdzie jeszcze w końcu XIX wieku były pustkowia, dziś znajdują się osady jakby z ziemi wyrosłe.

Najbardziej zadziwiającą z tych osad, jest miasto Dalny, w niewielkiej odległości od Portu Artura, nad zatoką Talienwan. Miasto rozległe, mogące pomieścić kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, zbudowane w ciągu dwóch lat niespełna.

Nie przypomina ono budowlami swemi Azyi; — raczej ma wygląd osady holenderskiej lub francuskiej. Ulice równe, szerokie, „pod sznur" wycięte, oświetlone elektrycznością, uposażone w tramwaj elektryczny i we wszystkie udogodnienia nowoczesne. Piękne ogrody, liczne skwery i promenady zapewniają miastu świeże powietrze.

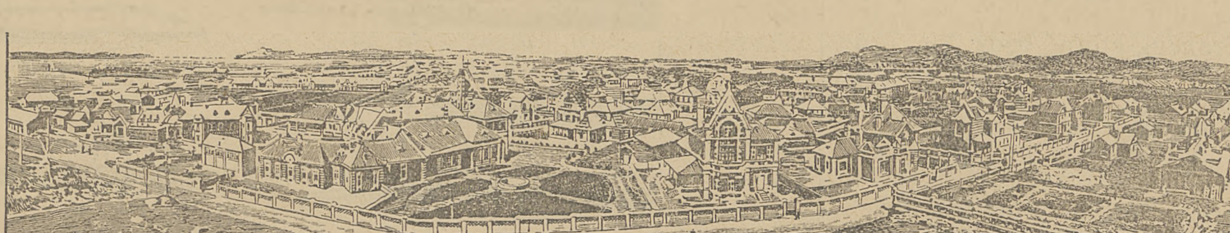


Rezydencya gubernatora w Dalnym.

Całe miasto ogrodzone jest kratą drucianą na murowanej podstawie. Nadaje to ulicom wygląd oryginalny, przypominający letniska nowoczesne. gdzie posiadłości oddzielone są jedna od drugiej sztachetami.

Dalny leży nad zatoką, która nigdy nie zamarza; okręty więc mogą tu zawijać przez rok cały. Przybywają też chętnie do portu znakomicie urządzonego i, co ważniejsza, wolnego od wszelkich opłat celnych. To właśnie gromadzi tam licznych kupców, a handel rozwija się szybko. Dalny stanie się wkrótce w Azyi wschodniej tem, czem w Ameryce zachodniej jest San Francisco.

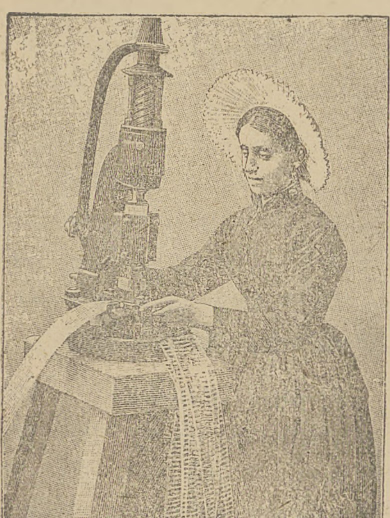
Z.



Ogólny widok Dalnego.

Fabrykacya piór
do pisania.

Wynalazcą piór stalowych jest Francuz, Arnoux z Rou'en (1750), który usiłował je wyrabiać, jednakże rozpowszechnieniu tego pożytecznego ze wszech miar wynalazku stanęła na przeszkodzie nie tyle może niezupełnie praktyczna forma, ile cena samego produktu. Pierwszą racyonalną produkcyę piór stalowych zapoczątkował pracownik jubilerski P. Williamson w Baltimore w Ameryce. Usiłowania jego, a nadewszystko pomyślne ich wyniki zwróciły baczną uwagę Anglików i już w roku 1805 powstaje pierwsza fabryka piór stalowych w Londynie. Pióra te jednak nie zalecają się praktycznością pomysłu, a przedewszystkiem odstraszają ceną, która wynosiła około sześciu franków (siedem marek) za sztukę. To też pióra stalowe należą jeszcze do rzeczy zbytku, na które pozwolić sobie mogą tylko ludzie

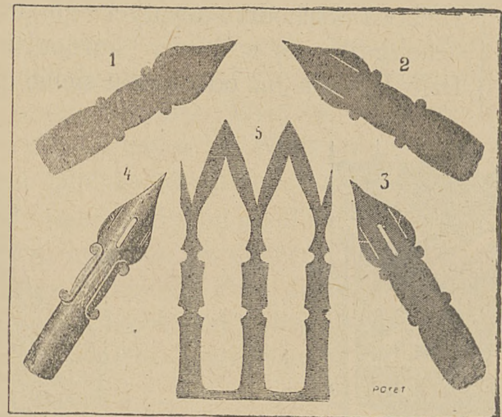


Rys. 2. Wycinanie pióra z taśmy stalowej.

bogaci. Na cenę wpływa nie tyle koszt materyału surowego, ile sposób produkcyi, każde bowiem pióro wykonywa się z oddzielnej sztuki.

Stan taki trwał do roku 1830, t. j. do chwili, gdy Perry z Manchesteru zastosował sposób fabrykacyi piór stalowych w masie i zaczął do wyrobu pierwszy raz używać tłoczni (sztanc), przez co znakomicie ułatwił wyrób samych piór. Obniżył ich cenę i udostępnił szerszemu ogółowi korzystanie z dobrodziejstwa wynalazku.

Zasługa wprowadzenia fabrykacyi stalowych piór i ich rozpowszechnienia we Francyi, która bądź co bądź była kolebką wynalazku, należy się Blanzy'emu, dyrektorowi poczt i Poure'mu, profesorowi matematyki. Oni to w roku 1846 założyli w Boulogne pierwszą fabrykę piór stalowych, znaną w świecie całym po dzień dzisiejszy. Fabryka ta zatrudnia obecnie około 1,000 robotników i robotnic. Od tego czasu przemysł, wytwarzający pióra stalowe, tak się rozwinął we Francyi, że wynosi około 300,000 kilogramów (6,000 centnar.) dziennie, z czego na sam dom handlowo-przemysłowy Blanzy—Poure przypada 200,000 kilogramów a zatem około dwóch trzecich



Rys. 1. Przeobrażenie pióra stalowego. — 1. Pióro wycięte. — 2 3. Z wytłoczonemi dziurkami. — 4 Gotowe do użytku. — 5 Odpadek taśmy.

całej produkcyi piór stalowych we Francyi. Liczba wyprodukowanych piór stalowych na całym świecie sięga olbrzymiej cyfry 3 miliardów sztuk, co wypada mniej więcej po 2 pióra na jednego mieszkańca globu ziemskiego, posiadającego umiejętność pisania, nie licząc takich, którzy dla braku tej umiejętności z piór nie korzystają, jak również i Chińczyków, którzy pozostali wiernymi piórom ptasim. Na całym świecie jest czynnych obecnie około 15 fabryk piór stalowych, które głównieześrodkowują się w Birminghamie, Berlinie, New-Jorku i Boulogne-sur-Mer. Warszawa też może poszczycić się fabryką piór stalowych, które dobrocią nie ustępują zagranicznym.

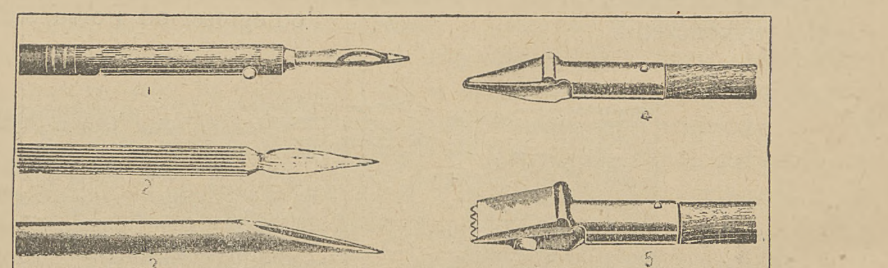
Sam wyrób piór rozpada się na parę zasadniczych czynności. Pierwszą z tych czynności jest kucie na zimno taśm stalowych, poprzednio zahartowanych w oleju. Taśmy te dostają się następnie w ręce robotników, którzy specyalnemi maszynami wycinają z nich kontury przyszłych piór stalowych. Rysunek załączony (rys. 2) wyobraża właśnie robotnicę, mieszkankę Boulogne, która pracuje przy wycinaniu piór stalowych. Na sąsiednim rysunku (rys. 1) zapoznajemy się z ważniejszemi przyobrażeniami pióra stalowego, poczynając od wycięcia konturu (szablonu) (1), a kończąc na gotowem do użytku piórze. Każde pióro musi być opatrzone znakiem fabrycznym, co uskutecznia się za pośrednictwem specyalnej maszyny, jak objaśnia nam rysunek obok (rys. 3).

Pióro „surowe" po wycięciu konturów (rys. 1. fig. 1). przechodzi przez wiele rąk, zanim stanie się zdatnem do użytku. W pierwszej swojej fazie jest ono płaskie; następnie przecina się jego boki i rozcina koniec w celu nadania mu elastyczności, dalej nadaje formę walcowatą i wygląd estetyczny. Połysk piórom stalowym udziela się przez gotowanie w stężonym roztworze sody. Manipulacya czyszczenia piór odbywa się w beczce, wypełnionej żwirem i niezwykle miałkim wilgotnym szmerglem, nadając jej ruch obrotowy przez przeciąg 48 godzin. Po oczyszczeniu i nadaniu połysku, pióra ostrzą się. Do czynności, wymagającej niezwykłej wprawy od wykonawcy, należy przecinanie brzegów, ostrza i wycinanie otworów, mających nadać piórom stalowym pewną giętkość i elastyczność. Jeżeli



Rys. 3. Wybijanie firmy

gatunek pióra ma być lepszy, ostrze każdego pióra przecina się oddzielnie, w przeciwnym razie uskutecznia się masowo. Liczba przecięć jest w ścisłym związku z przeznaczeniem pióra do tego lub innego użytku. Zwykle t. z. handlowe pióra posiadają tylko po 3 przecięcia, w innych liczba takich nacięć sięga siedmiu. Tu zauważyć należy, że przecięcia ostrza pióra uskutecznia się z większą uwagą i starannością, niż przecięcia boczne, które mają znaczenie pomocnicze, gdy od pierwsze-



Rys. 4—1. Pióro amerykańskie złote.—2. Pióro szklane.—3. Pióro z trzciny egipskiej.—4. 5. Pióra do napisów.

go zależy istotna dobroć pióra. O tej ostatniej decyduje także grubość materyału i forma samego ostrza. Ostatnią czynnością przy wyrobie piór jest werniksowanie. Pióro pokrywa się powloką werniksu, złota, bronzu, wreszcie nadaje barwę niebieską i t. p. w celu ochrony od psucia się piór pod wpływem atramentów, co uskutecznia się albo przez oksydowanie, albo też sposobem galwanoplastycznym, jak obecnie bardzo rozpowszechnionym tam, gdzie chodzi o pokrycie wyrobów metalowych, ulegających wpływom zewnętrznym, powloką metalu odpornego.

Z powyższego widzimy, że pióra, zanim staną się artykułem handlu, muszą przejść wiele rąk. Pakowanie piór nie jest też czynnością zwykłą i szablonową, wytwórcy bowiem wysilają tu swą pomyslowość, ażeby wyglądem zachęcić do kupna. Cena zależy od gatunku i dobroci towaru, jednakże jest ona już dziś tak nizka, że z piór stalowych obecnie korzystać może każdy.

Po drugiej stronie Atlantyku wyrób piór wogóle przyjął inny kierunek. Nowatorski zmysl mieszkańsów Nowego Świata nie mógl poprzestać na tem, co przed dziesiątkami lat bylo uważane za ostatni wyraz pomysłowości i zastosowań w dziedzinie fabrykacyi piór wogóle, wytworzyli więc i w tym kierunku, jak i w wielu innych, szereg specyalnych udogodnień, zwracając baczną uwagę na jakość materyału, lecz także i na formę, czyniąc je zależnemi od przeznaczenia pióra. Stal tedy nie jest już wyłącznym materyałem do wyrobu piór. Załączony rysunek (rys. 4) wyobraża rozmaite rodzaje piór, przeznaczonych do różnorodnych celów. Numer pierwszy to pióro złote, podręczne, do noszenia w notatniku, numer drugi — pióro szklane, pod numerem trzecim mamy pióro z trzciny egipskiej, pozostałe wyobrażają pióra, które mają służyć do pisania na pakietach i przesyłkach. Wygląd tych piór jest istotnie odrębny od zwykłych piór stalowych i odznacza się swą oryginalnością.

B. G.

Morze.

Nie ufaj morzu, rybacza dziatwo!
Toń wód zdradliwa i płocha —
Pochłonąć może każdego łatwo,
Kogo podstępnie ukocha...

Nie wierz ty fali, gdy srebrnogrzywa
O zrąb skalisty uderza —
Ona opokę, granit podmywa,
Całe zalewa wybrzeża.

Nie daj się kusić czarom, co tęczą
Malują jasne powierzchnie —
Za chwilę może wichry zajęczą,
I wszystek urok gdzieś pierzchnie.

Niech cię nie ludzi pieszczota fali,
Gdy bose stopy twe liże —
Zimna, kapryśna, wnet się oddali,
Z innemi złączy się w wirze.

Nie patrz ty z brzegów w głębinę siną,
Na falujące wód łono,
Gdyż srebrne fale, co w przestrzeń płyną,
Pociągną myśl twą stęsknioną. —

Melodyą plusków, grą barw i cieni,
Rozmarzą ducha, odurzą,
Kryjąc pod łuską lśniących pierścieni
Stada rekinów wraz z burzą...

Wiktor Dzierżanowski.

Wspomnienia
z niewoli moskiewskiej
r. 1863-go.

(Ciąg dalszy.)

V.

Rozłączenie z Bornemissą. — Wymarsz do Warszawy. — Próba ucieczki. — Cytadela. — Ratusz. — Transport do Olkusza. — Zwiastowanie wolności. — Niektóre przykłady sprawiedliwości moskiewskiej. —

Po rozstrzelaniu Monsego minęło cztery tygodnie; podczas których czas płynął mi powoli i smutno, jak nigdy przedtem. Nie wiedziałem już co myśleć o moim wyroku; niepewność ta dręczyła mię okropnie. Nareszcie rozeszla się po więzieniu pogłoska, że wkrótce odejdzie znaczny transport więźniów do Warszawy. Jakoż w istocie, 27. kwietnia wszedł do nas podoficer i oświadczył nam, że z wyższego rozkazu mamy wszyscy wyjść na dziedziniec, po którym, nawiasowo powiedziawszy, wolno nam było raz na 8 dni używać półgodzinnej przechadzki. Było nas razem 400. Oficer dyżurny z wielkiej jakiejś księgi odczytał 150 nazwisk, między temi i moje; wszystkich zaś tych, których nazwiska czytano, odstawiono na bok, jako przeznaczonych do Warszawy. Bornemissy nie było między nami. Zmartwiło to nas obydwóch niezmiernie. Zaprzyjaźniwszy się w Kielcach jeszcze, byliśmy odtąd nierozłącznymi towarzyszami i przyjaciołmi, a wzajemne przywiązanie nasze wzmogło się jeszcze było podczas ostatnich, tak smutnych dla nas wyroków. Bornemissa pobiegł za oficerem, który czytał powtórnie nasze nazwiska, i prosił go, aby raz jeszcze przejrzał cały spis, na którym i on musi być koniecznie, bo wraz ze mną przybyl z Kielc do Radomia, spodziewa się zatem i nadal podzielać ten sam los, który mię spotka. Daremnie, nazwiska jego nie było na spisie. Natomiast udzielił mu oficer nowiny, z którą jak szalony przyleciał ku mnie. Twarz jego jaśniała radością. „Do Galicyi pójdziesz, do Galicji!“ wołał w uniesieniu. Z początku nie chciałem wierzyć moim uszom; później, gdy się przekonałem, że mię nie mylą, byłem pewny, że to bąk nielitościwy, którego oficer puścił Bornemissie. Ten ostatni jednak upewniał mię, że mu oficer z wielkiej swojej księgi jak najwyraźniej wyczytał moje nazwisko z tym lakonicznym dodatkiem: Oficer .....cki, odstawić do Galicji. Z swojej zaś strony objaśnił Bornemissie, że rozkaz ten przyszedł z Warszawy!

Pomimo autentyczności źródla, z którego pochodziła ta wiadomość ,nie mogłem jej wierzyć. Tyle już razy w Staszowie i w Kielcach obiecywano nam wolność, że ciągle bolesne rozczarowania nauczyły mię przezorności. Zresztą, jeżeli miałem być odstawiony do Galicji, pocóżby mię wieziono do Warszawy? Wszak z Radomia bliżej do Krakowa, jak ztamtąd! Te i tym podobne uwagi przychodziły mi do głowy, a skutek ich był taki, że zamiast spodziewać się rychłego uwolnienia, przeczuwałem coś bardzo złego i przy pierwszej zdarzającej się sposobności, postanowiłem uciekać.

Nazajutrz ruszyliśmy ku Warszawie. Rozstanie z Bornemissą napelniło mię niewymownym żalem, ale więzienie Radomskie opuszczałem chętnie, a przebyte w nim trzy miesiące liczę do najpiękniejszych chwil w życiu mojem. Przed odejściem jeszcze, na własne oczy przekonałem się z łaski uprzejmego oficera, że ta miło brzmiąca adnotacya, o której mi mówił Bornemissa, rzeczywiście znajdowała się obok mojego nazwiska, w owej wielkiej księdze przeznaczeń, w której wszyscy byliśmy spisani. Jakaś iskierka nadziei wstąpiła we mnie, ale wrodzony pesymizm, poparty smutnemi doświadczeniami nie pozwolił jej się długo żarzyć. Nie mogłaż zajść jaka pomylka co do nazwisk, a jeżeli nie zaszła, czy wyrok tak pomyślny dla mnie, był nieodwołalny? Bądź co bądź, chciałem uciekać po drodze z Warszawy, lub gdzie się sposobność nadarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SEWERA.

(Nowella.)

Wybiegła z willi pełnej balkonów, werand, ganeczków, obwieszonej splotami dzikiego wina, przytulonej do skały, jako gniazdo z zieleni; wybiegła, czy wyfrunęła, w błękitnej sukience, wesoła, zwinna jak ptaszę. Wielki pasterski kapelusz rzucał cień zazdrosny na jej twarzyczkę, różową jak jutrzenka, a z pad niego wymykały się dwie splecionki włosów ciemnych, które się spuszczały swobodnie na plecy i aż kolan sięgały, przechylając w tył ciężarem swoim jej maleńką główkę.

Szła brzegiem wąwozu, czasem biegnąc prawie, czasem znów zwalniając kroku. Gdy biegła, zdawała mi się swawolną rusałką, nęcącą zwinnością ruchów; gdy szła zwolna, krok jej był tak równy, falisty, iż zdawała się płynąć w przestrzeni, a błękitna sukienka posuwała się rytmicznie, zaledwie odkrywając czasami końce nóżek.

Było to bardzo rano . Perlista rosa obsypywała perłami zieloną murawę, liście drzew, nawet żwirem pokryte ścieżki. Gdzie było spojrzeć — łamały się wszędzie promienie słoneczne, obejmując przedmioty tęczową obręczą; a mnie się zdało, że było to jedyne właściwe tło dla błękitnego zjawiska, które migało mi tu i owdzie na zakręcie ścieżek i zdawało się oderwane od błękitów nieba.

Dziwić mi się nie można; miałem zaledwie lat dwadzieścia, chowałem się pod surowem okiem dziadka, i na całym świecie znałem tylko gmach szkolny w prowincyonalnem mieście i ponury dwór, zwany pałacem, siedzibę moich ojców, zagrzebany w odludnej okolicy.

Kobiety były dla mnie rodzajem mytu. Matka odumarła mnie dzieckiem, siostry nie miałem, a stara ochmistrzyni, zarządzająca gospodarstwem dziadka, nie wchodziła w rachunek. Czasem tylko jaka ciotka lub kuzynka zabłąkała się w nasze góry, ale nie miały one nic wspólnego z tą cudną istotą, którą ujrzałem nagle na tle mgieł poranku, w miejscowości leczniczej, gdzie bawiłem z rozkazu doktora, kiedy straciwszy dziadka, sam tylko co powstałem z ciężkiej choroby.

Świat, jaki mnie otaczał, był dla mnie nowym zupełnie; świat ten zapewne uśmiechał się do mnie marzeniami lat dwudziestu, teraz jednak nie wiedziałem o tem nic — świat cały odrazu skupiła ona w sobie.

Patrzałem na nią, gdy biegała tu i owdzie, swobodna, wesoła jak ptaszek; czasem schyliła się, uszczknęła jaki kwiatek, lub też białą rączką przesuwając po murawie, zbierała rosę i podnosiła ją w górę, migocącą tęczami, pełną brylantów, spływających zwolna po różowym alabastrze paluszków.

Patrzała na to wielkiemi, słonecznemi oczyma, i śmiała się, a śmiech ten czynił na mnie takie wrażenie, jak gdyby brylanty uderzały o siebie, — był dziwnie łaskotliwy, zdawał się tworzyć w myśli mojej obrazy; gdym go usłyszał, w oczach robiło mi się błękitno, a na tem tle rysowały się niewyraźnie: różowy kontur twarzy, pasterski kapelusz, ciemne warkocze i dłoń biała, dłoń pełna blasków, podniesiona w górę.

Jak długo przesuwała się tak przed memi oczyma, nie wiem, nie umiałbym określić. Patrzałem na nią z okna willi; ona nie widziała mnie zapewne, bo inaczej nie byłaby tak swobodną, nie miałaby tych dziecinnych ruchów, ani tego brylantowego śmieszku, który od czasu do czasu odzywał się, mieszając swą ostrą, wysoką nutę z porannym świegotem ptasząt. Kiedy znikła mi wreszcie w oddali, spostrzegłem dopiero, żem stał ze złożonemi rękoma, jak gdybym się modlił, i zawstydziłem się mojej modlitwy, bo właśnie wszedł hotelowy posługacz, pytając o jakieś rozkazy.

Płomień rumieńca przebiegł mi po twarzy. Chciałem wybadać, kto ona; nie wiedziałem, jak to uczynić. Czy miałem pytać o błękitną sukienkę, o pasterski kapelusz, o długie warkocze? takich zapewne było wiele tutaj. A jednak czułem, iż ona była jedyną, iż drugiej takiej spotkać nie podobna.

Kiedy zastanawiałem się nad tem, a służący czekał na odpowiedź, której mu dać nie myślałem, ujrzałem znowu dwie drobne nóżki w błękitnych pończoszkach, w złocistych pantofelkach, wysuwające się z cienistej ścieżki, a dalej wiatr powiewał wstążkami kapelusza, który teraz niosła w jednej ręce pełen niezapominajek, drugą unosząc lekko błękitną sukienkę, zmoczoną widać w jakiejś niefortunnej wyprawie.

Mogłem teraz zapytać służącego, kto ona? Tymczasem ujrzawszy ją, zapomniałem o wszystkiem i wychyliłem się nieostrożnie z okna, pociągnięty czarem jej postaci.

Willa, z której wybiegła i do której wracała przemokła, stała tuż obok tej, gdzie mieszkałem, przedzielał ją tylko wązki pasek ogródka i dróżka, obsadzona kwiatami. Z poza nich wyglądała jej błękitna suknia, upstrzona czerwonemi pelargoniami, które rysowały na niej swe jasne kwiaty i smukłe łodygi.

Właścicielka błękitnej sukienki znajdowała się w kłopocie: przechodząc przez ogrodową furtkę, zaczepiła o nią skrzydła wielkiego kapelusza i cała zdobycz rannej przechadzki, wiązka niezapominajek, wypadła na ziemię, a ona patrzała na nią, nie mając wolnej ręki, bo nie mogła ani rzucić kapelusza, ani opuścić zmoczonej sukni. W tem położeniu, lekki wykrzyknik: ach! wymknął się z jej ust, oczyma potoczyła dokoła, jakby szukając pomocy. Pomoc się nie zjawiała, a przecież wykrzyknik był wymowny: dosłyszałem w nim wyraźną prośbę, by kto zebrał z ziemi te kwiaty, których zdobycie kosztowało ją zapewne wiele trudów, może niebezpieczeństwa, bo wszakże rwała je nad brzegiem strumienia, a strumień mógł być głęboki.

To też nie czekając dłużej, pobiegłem jej na pomoc. Jednym pędem przebyłem przestrzeń, jaka nas dzieliła, i zebrałem rozrzucone kwiaty.

— Ach! — zawołała znowu, tym razem zupełnie odmiennym tonem, w którym dosłyszeć było łatwo i przestrach, i wdzięczność, i coś jeszcze więcej, nieokreślonego a miłego uchu, jakby echo myśli pochlebnej.

Na ten wykrzyknik podniosłem na nią oczy ośmielony i pozostałem bez ruchu, patrząc na jej twarz, różową, na oczy słoneczne.

Ona nie zmieszała się wcale, nie rozgniewała, tylko roześmiała się owym brylantowym śmiechem, dodając:

— Dziękuję panu, dziękuję! ach! jaki pan dobry.

Były to zwyczajne słowa, jednak brzmiało w nich tyle rzeczy niedopowiedzianych, iż głos jej oczarował mnie, jak postać, jak śmiech... Z pewnością nikt tak mile podziękować by nie potrafił. Głos jej miał jakąś cudowną giętkość, był przezroczysty, jeśli tak wyrazić się można, poza słowami dźwięczały jakieś serdeczne, ciepłe uczucia, których słowa były tylko osłoną. A przytem oczy patrzały wprost na mnie, tonęły w moich, jakby ona także wyczytywała w nich głąb mojej istoty.

Potem nagle zabrała kwiaty, które jej podawałem, i frunęła do wnętrza domu, wołając jeszcze: „dziękuję, dziękuję“.

Frunęła i zabrała z sobą serce moje całe. Długo stałem na miejscu, jakby zaklęty, słuchając jeszcze, choć echo jej głosu dawno przebrzmiało, i byłbym stał nie wiem jak długo, gdyby zjawisko nie ukazało się na balkonie, śląc mi znowu uśmiech i skinienie ślicznej główki, jak gdyby chciała upewnić mnie, że tutaj jest jej mieszkanie, że tu jest jej balkon.

Od tej chwili zaczął się dla mnie raj na ziemi. Spotykałem ją ciągle o każ-

dej godzinie dnia. Była tu z ciotką, najczęściej jednak wybiegała sama na góry otaczające. Pozwoliła mi przychodzić do siebie, gdyśmy zmęczyli się oboje nieskończonemi przechadzkami, a wówczas szczebiotała jak ptaszę, swym dźwięcznym, pieszczotliwym głosikiem. Ciotka zaś miała zawsze jakieś zajęcie i zostawiała nas samych.

To, co mówiła, zdawało mi się bardzo zajmującem, byłbym ją słuchał, słuchał... słuchał ciągle, wpatrzony w te szare oczy, w których czasem był urok cichy, słodki marzący, a czasem znów zapalały się iskry nagle i przetwarzały blaskiem jej twarz, na pół dziecięcą jeszcze.

W tej porze, miejscowość, w której znajdowaliśmy się oboje, była prawie pustą; wszyscy jednak co ją spotykali, wlepiali w nią oczy. Ja nie dziwiłem się temu; byłbym się dziwił, gdyby czyniono inaczej, — ona pociągała wzrok ludzki, jak słodycz pociąga pszczoły.

Spotkaliśmy niespodzianie, wśród naszych wycieczek w góry, jednego z moich szkolnych kolegów.

— Ty znasz Sewerę? — zawołał zszedłszy się ze mną wieczorem — dawnoż ona tu jest?

Dowiedziałem się wówczas dopiero, iż była artystką dramatyczną. Dotąd znałem tylko jej nazwisko, nazwisko zwyczajne; nazwisko, które zapewne nieraz uderzyło oczy moje w czasopismach bez zwrócenia uwagi.

Więc ona była artystką dramatyczną!... Zastanowiło mnie to, zdziwiło, chociaż o teatrze, kulisach itp. nie miałem jasnego wyobrażenia. Ona nie mówiła mi tego nigdy. Ale cóż mi to znaczyło!

Nazajutrz zapytałem ją wprost:

— Więc pani jesteś w teatrze?

Wzrok jej spoczął na mnie przez chwilę badawczo, jakby czytała w twarzy mojej wywołane tem słowem wrażenie.

— Alboż pan o tem nie wiedziałeś? — odparła po chwili — wszak o tem wiedzą wszyscy.

Miała słuszność; zawstydziłem się własnej niewiadomości, a potem... potem nie mówiliśmy o tem więcej bośmy mieli wiele innych ważniejszych przedmiotów; aż wreszcie wypowiedzieliśmy sobie tę wielką tajemnicę, która zawiązała się pomiędzy nami od chwili poznania, może od pierwszego spojrzenia. Kochaliśmy się...

Nie wiem już, czy ja sam powiedziałem to Sewerze, czy ona odgadła, dość, że przy blaskach zachodzącego słońca zbiegły się nasze oczy i wyczytaliśmy w nich wzajem to, co działo się w sercach.

Odtąd nie było na świecie szczęśliwszego odemnie człowieka. Nikt nie mącił mi chwil rozkosznych, zależałem tylko od siebie, nikt nie stał pomiędzy mną a Sewerą, bo ona także była sierotą. Byłbym chciał zaślubić ją, zaręczyć się przynajmniej; ale kiedy tylko chciałem o tem mówić, Sewera śmiała się i powiadała, że znamy się dopiero dni kilka; a gdym chciał wsunąć jej na palec maleńką obrączkę z turkusem, odłożyła zaręczyny nasze do czasu, gdy do Krakowa powróci. Prawda, iż ta obrączka pamiątkowa nie miała innej wartości, a jej paluszki godne były najpyszniejszych brylantów. Nalegałem — naprożno; położyła mi na ustach swą aksamitną rączkę, a ja całowałem ją i musiałem przyjąć jej wolę.

Zacząłem jednak chętniej myśleć o wyjeździe, bo marzyłem o chwili, gdy zostanę narzeczonym Sewery; ona zaś opowiadała mi teraz nieustannie o swoich rolach, o scenicznych tryumfach, o tem gorączkowem życiu artystów, o którem wyobrażenia nie miałem.

— Zobaczy pan — mówiła — jak ja gram w „Świecie nudów!“ — albo: — co ja mam za scenę w nowej sztuce Bałuckiego!

Słuchałem jej, bo jakżeż słuchać nie miałem, kiedy przy tych słowach śmiały się jej szare oczy, różowa twarzyczka pałała, melodyjny głos obejmował mnie falami harmonii; kiedy w tym głosie dźwięczało to wszystko, co pragnąłem w nim słyszeć. Głos ten najzwyczajniejszym słowom nadawał dziwne znaczenie; czasem jeden wykrzyknik „ach!“ jedno „nie wiem“, jedno „tak“ lub „nie“, wypowiadało to, na co ktoś inny potrzebowałby całych frazesów ;a kiedy, drażniąc się ze mną, mówiła czasem, że mnie tylko lubi, owo lubię brzmiało tak rozkosznie, całą pełnią wielkiego uczucia, że nie pragnąłem nic więcej.

Zresztą, czyż każde jej spojrzenie, długie, przeciągłe, mieniące się iskrami złota, które tryskały z jej ciemnoszarych źrenic, nie wypowiadało wyraźnie uczuć? Ach! jak ona patrzeć umiała!.... zdawało się, że oczy jej wydobywały z głębi myśli i serca tych, na których spoczęły, wszystko, co tam było najtajniejszego; przed niemi nic ukryć się nie mogło, tak sądziłem przynajmniej, i pod ich blaskiem spowiadałem się z całego życia, z każdej myśli, z każdego uczucia, a szczególniej z radości mojej. Był też z niej bardzo łaskawy spowiednik. Gdym mówił, trzymając w swoich dłoniach jej rączki, oczy jej obejmowały mnie potokiem światła, przytakiwała mi swą śliczną główką, jakby mówiła: „Wiedziałam o tem.“ A za każdem jej poruszeniem, ciężkie warkocze, niby dwa ciemne, lśniące węże, kołysały się na plecach, czasem nawet musnęły mnie z lekka. Kochałem te jej nieporównane warkocze, podziwiałem nieraz ich bogactwo, lubiłem brać je w rękę, lub do ust podnosić. Ona przecież nie pozwalała na to; gdym nalegał, okazywała podrażnienie, musiałem więc czynić to tylko ukradkiem.

Walerya Marrene.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W dal przedemną....

W dal przedemną w mgle się wije
droga,
Noc roztacza ponad ziemią czar;
Step śród ciszy słucha głosu Boga,
A z błękitów płynie gwiazdek gwar.
Niebo czary w sennej roi głuszy,
W mgle śpi ziemia, jak w błękicie fal...
Czemuż smutno mi i tęskno w duszy?
Czekam na co? Czy mi czego żal?
Na nic już nie czekam w życiu mojem
I przeszłości wcale nie żal mnie:
Za swobodą tęsknię i spokojem...
Chcę zapomnieć i utonąć w śnie.
Ale nie w tym chłodnym śnie mogiły:
Ja na wieki tak już zasnąć chcę,
By w mem łonie drżały życia siły...
By podnosił oddech piersi me...
Aby słodki głos miłości śpiewem
Wciąż kołysał mnie i w noc i w dzień,
By nademną stary dąb powiewem
Swoich liści rzucał szmer i cień!

Wł. Nawrocki.

interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 24 wielkich arkuszy „Pracy" dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Każdy nowo przybyły Abonent niech nam doniesie dokładnie, od którego numeru „Pracy" życzy sobie mieć powieść p. t. „Śpiewaczka ludowa." Jednocześnie upraszamy tych Szanownych Abonentów, którzy już otrzymali pierwsze arkusze tej powieści, a życzą sobie mieć dalsze, o łaskawe dokładne doniesienie nam, które arkusze przysłać im mamy. W każdej „Pracy" jest każdy arkusz powieści numerowany, więc należy n. p. donieść: „proszę mi przysłać arkusze 18, 19, 20 lub też arkusze 15, 16 i 17 i t. p." Na dowód prosimy załączyć kwity pocztowe abonamentowe.

Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najdogodniej i najtaniej.

Nadzwyczajne piękne premium.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **trzech nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (najnowsze wydanie).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

***piękny obraz historyczny w kolorach**, oraz zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10 cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Odezwa.

Przez śmierć śp. posła Józefa Głębockiego ubył naszej sprawie bojownik przedni i dzielny, mąż gorącego serca i niezłomnej wiary.

W szeregu stał nie tylko z poczucia obowiązku, ale i z wewnętrznej potrzeby obrony świętych skarbów narodowych.

We wirze walki potężniał, bo niósł wysoko sztandar narodowy i widział po za sobą coraz liczniejsze rzesze.

Wierzył w zwycięstwo pod tym znakiem i tą wiarą zagrzewał drugich.

Nie było Mu danem doczekać końca walki. Legł i ukochany sztandar z martwej wypadł dłoni.

Nam wszystkim go podjąć trzeba, a poległemu bojownikowi w smutku i żałobie najgłębszą cześć i hołd złożyć należy.

Chcąc zaś pamięci Zmarłego trwalsze zapewnić wspomnienie i dać choć słaby wyraz uznania dla Jego zasługi, otwieramy składkę na mający Mu się zgotować pomnik.

Komitet ku uczczeniu pamięci ś. p. Józefa Głębockiego.

Józef Kużaj, prezes. *Jan Paczkowski*, zastępca.
Karol Rzepecki, sekretarz. *Dr. F. Niegolewski*, skarbnik.
Władysław Jerzykiewicz. Dr. B. Krysiewicz. M. Kaniasty. T. Krause. Walery Łebiński. Hr. Maciej Mielżyński. Ludwik Miklaszewski. Stan. Offierski. Dr. R. Szymański.

Składki, które wpływają bardzo obficie, przyjmuje skarbnik p. dr. F. Niegolewski.

Wiadomości.

— ***Dział illustrowany*** następnego numeru „Pracy" poświęcimy pamięci O. Augustyna Kordeckiego ku uczczeniu 300-ej rocznicy urodzin tego wielkiego kapłana i męża.

— **P. Jan Specht**, jak nam donoszą, nie złożył urzędu przewodniczącego tutejszego Bractwa strzeleckiego, ani nie wystąpił z Bractwa. Odnośna wiadomość, zaczerpnięta z „Posener Tageblattu", była przeto zmyśloną.

— **Pierniki p. A. Markiewicza** w Kostrzynie śmiało współzawodniczyć mogą z niemieckiemi wyrobami toruńskiemi. Uznali to już niejednokrotnie znawcy na różnych wystawach i fabrykaty p. *A. Markiewicza* uwieńczyli nagrodami i medalami. Takie publiczne odznaczenia, to nie zwykła reklama, którą sobie pierwszy lepszy kupić może za pieniądze, ale największy zaszczyt, jaki dostaje się w udziale fabrykantowi za jego rzeczywiście znakomite wyroby. A odznaczeniami obdarzyli p. *A. Markiewicza* nie tylko rodacy nasi w Poznaniu, Gnieźnie i Krakowie, ale nawet „nasi najserdeczniejsi", którzy z pewnością nie mają do nas najmniejszej sympatyi, na wystawach przemysłowych w Berlinie i w Dysseldorfie w roku 1896.

To wszystko przemawia za tem, że wyroby p. *A. Markiewicza* należą do najlepszych polskich piernikarskich smakołyków, w które każdy na nadchodzącą Gwiazdkę zaopatrzyć się powinien, a nabyć je może w cukierniach, handlach kolonialnych i cukrów. Fabryka wysyła cenniki na żądanie bezpłatnie i franco.

— **Ślub.** W kościele Bożego Ciała pobłogosławił dnia 24go z. m. ks. proboszcz Kostenski w asystencyi ks. Gapczyńskiego związek małżeński między panną Heleną Arendtówną z Poznania a ces. kr. urzędnikiem poczty, p. Antonim Grzymałą Gutteterem ze Samborza w Galicyi. Szczęść Boże młodej parze!

— **Z rąk niemieckich w polskie przeszły** od r. 1900 do 1903 według zestawienia „Pos. Tageblatt" następujące majątki: 1) Brzóstków w pow. jarocińskim, 677 ha., nabył p. dr. Bogumił Hebanowski od p. M. Engelhardta. Mielęcin w pow. kępińskim, 1167 ha., nabył p. Leon Hulewicz od pp. Hirscha Friedländera i Rauscha. 3) Rudniczysko w pow. kępińskim 780 ha., nabył p. B. Sczaniecki od p. Hirscha Friedländera. 4) Żelazno w pow. kościańskim, 363 ha., nabyła Spółka Ziemska w Poznaniu od p. Hentschela, 5) Koronowo w pow. leszczyńskim, 214 ha, nabył poseł dr. Witold Skrzyński od p. E Sandera. 6) Chudopsice w pow. nowotomyskim, 749 ha., nabył p. R. Sulerzyski od p. Ryszarda Schulza. 7) Zębowo w pow. nowotomyskim, 1470 ha., nabyła pani Łącka z Pakosławia od pp Bergerów. 8) Goluń w pow. średzkim, 464 ha., nabył p. Pągowski od p. L. Hellinga. 9) Wojdal w pow. inowrocławskim, 361 ha., nabył p. Chrzanowski (ten sam, który Katarzynowo sprzedał komisyi kolonizacyjnej) od Spółki handlowej Blumberga i Schreibera. 10) Pietronka w pow. Chodzieskim, 1075 ha., nabył p. hr. Ignacy Bniński od Alfonsa Stracha. 11) Sierniki w pow. strzelińskim 322 ha., dawniejszy właściciel Emil Hinrichsen, nazwiska nabywcy „Pos. Tag." nie podaje. 12) Brześć w pow. strzelińskim, 474 ha., nabył p. W. Miech od p. A. Wernera.

W ręce polskie przeszło zatem 30 tysięcy mórg z rąk niemieckich. Poznański organ hakatystów pieni się z tego powodu ze złości, zowie Niemców właścicieli zdraj-

sami. Niechby sobie jednak „Pos. Tag." tylko obliczył, ile to ziemi polskiej oddali „zdrajcy Polacy" w ręce niemieckie.

— **Rodakom z nad Noteci** oraz paniom gospodyniom polecamy na nadchodzące **święta polski skład bławatów i towarów krótkich pani** *Jankowskiej w Wyrzysku.* **Nie zanośmy ciężko zapracowanego grosza do żydów, tylko popierajmy swoich!**

Zmarli.

† Ś. p. *ks. prob. Michalak* z Droszewa pod Ostrowem w Marysinie w 70-ym roku życia, a 44 kapłaństwa.

† Ś. p. *Bolesław Rosiński,* radzca sprawiedliwości w Opolu dnia 22-go z. m.

† Ś. p. *Kamila Kardolińska,* właścicielka pensyonatu w Poznaniu dobra Polka i patryotka, dzielna wychowawczyni córek naszych, dnia 24 z m. w Kaliszu. Pogrzeb odbył się dnia 26-go z. m. w Kaliszu.

† Ś p. *Wincenty Ertel,* mistrz introligatorski, dnia 24 z. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Leokadya z Kuhnertów Nowakowska,* dnia 24-go z. m. w Poznaniu w 34-ym roku życia.

† Ś. p. z *Sczanieckich Antonina Kalkstein*owa, dnia 27-go z. m. w 93-cim roku w Poznaniu Złożenie zwłok do grobu familijnego nastąpiło w Chełmży dnia 28-go z. m

† Ś. p. *Antonina z Lasockich Potworowska,* dnia 27 go z. m. w Poznaniu.

Wiadomości literackie.

— **W obronie świątyni,** powieść z czasu upadku Jerozolimy. Z 8 illustracyami. Z angielskiego przerobił Z. Słupski. Poznań. —W ozdobnej oprawie 3 m. Do nabycia w znaczniejszych księgarniach i u tłumacza ul. Fryderykowska 12.

W powodzi wydawnictw gwiazdkowych, utwór ten bardzo dodatnio się wyróżnia zarówno starannem wydaniem jako też i zajmującą treścią. Są tam iście sienkiewiczowskie obrazy. Tok opowiadania przykuwa uwagę czytelnika. Styl potoczysty, język poprawny i jędrny — wszystko zaleca tę książkę jako nader odpowiedni podarek zarówno dla młodzieży jak i starszych. Każdego zajmie, każdy z przyjemnością przeczyta i wiedzę swą wzbogaci.

— **Takie pismo jak „Komar"**, nie starzeje się — bo satyra, dowcip, zawsze ma wartość. Radzimy więc korzystać ze sposobności nabycia roczników tego pisma po wyjątkowo zniżonej cenie. Wydawca chcąc szerszą publiczność bliżej zapoznać z „Komarem" i zjednać mu większą liczbę abonentów — oddaje wszystkie już wydane numera po 10 fen, (zamiast jak dotychczas 40 fen.) a 7 numerów, które podczas jego uwięzienia wyszły bez illustracyi, po 5 fen. Kto więc nadeśle 10 f. lub też na wszystkie razem 2,85 mk. otrzyma franco. Adres: ul, Fryderykowska (Friedrichstr.) 12, Poznań (Posen).

— **„Podręcznik do domowej nauki Religi św. rzymsko - katolickiej"** Wydanie trzecie. Poznań 1903. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha. Aprobata konsystorza arcybiskupiego w Poznaniu.

Dziełko to przychodzi na pomoc rodzicom polskim w ich wielkim, a świętym obowiązku nauczania swych dzieci religii świętej w języku ojczystym wszędzie tam, gdzie szkoła za mało lub wcale nie uczy dzieci naszych religii po polsku. Odpowiada więc u nas niestety powszechnej niemal potrzebie!

Zawiera: naukę czytania, historyę świętą, katechizm wraz z przysposobieniem do Sakramentów św. i 25 pieśni kościelnych. „Podręcznik" ten zastąpi w razie konieczności dziecku, które już 2 lata do szkoły chodziło, nawet elementarz i pierwszą książkę do czytania. Całość ułożona krótko, łatwo, systematycznie i, — jak to ogólnie duchowni i świeccy przyznają, na nasze stosunki znakomicie.

Dwa pierwsze wydania rozeszły się nietylko w Księstwie, ale i w Prusach, na Warmii, Śląsku, na obczyźnie, nawet w Ameryce. Przy trzeciem wydaniu stereotypowem dała drukarnia nakładowa lepsze obrazki i obniżyła cenę do minimum, na 40 fenygów za oprawny już egzemplarz (9 arkuszy druku i litografii). Paczki pocztowe z 22 egz. oprawnymi wysyła się franko za 8 marek.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Kościan. Staraniem „Lutni" w Kościanie odbędzie się w niedzielę 6-go grudnia b. r. na sali hotelu Wiktorya wieczór wokalno-teatralny, na cześć Bolesława Dembińskiego, który obchodzi 60-letni jubileusz pierwszego występu muzycznego. Program składa się wyłącznie z dzieł Jubilata. Wykonanemi będą *„Na Żmudzi."* Ustęp III z „Pieśni o ziemi naszej" na głos solowy i chór 3 gł. żeński z tow. fortep. „Polonez" czyli VI część z „Pieśni o ziemi naszej" na głosy solowe, chór męzki z orkiestrą. *Zosia druchna,* sielanka dram, z muzyką Jubilata. „Chłopek" i inne oraz obraz sceniczny w jednym akcie „Zbudziło się w niej serce" ze śpiewami B. D. Spodziewać się należy, iż tak bogaty program zapełni salę publicznością, przez co przyczyni się do oddania czci Szan. Jubilatowi za położone zasługi około pieśni polskiej.

Od Redakcyi.

Panu Wincentemu N. w D. (pow. Kępiński) — „Jestem abonentem „Pracy" od lat 5 i bardzo jestem z niej zadowolonym, gdyż jest najpiękniejszem pismem naszem, dlatego też przy każdej sposobności zachęcam każdego do zapisania sobie „Pracy" na poczcie." — Za powyższe słowa dziękujemy najserdeczniej gorliwemu naszemu Czytelnikowi i Zwolennikowi. Daj nam Boże jak najwięcej takich Wiarusów, a całe piekło hakaty nas nie pokona!

Panu Filipowi B. w Wyrowie. — Przedłoż Pan tę sprawę względnie udaj się po informacye do p. Juliusza Starkla, redaktora „Przewodnika Przemysłowego" we Lwowie (gmach sejmowy.) My w tej sprawie Panu nic poradzić nie możemy.

Panu Józefowi Z. w Nowym Sączu (Galicya.) — Nie znamy tamtejszych praw, rozporządzeń itp., więc nie możemy Panu udzielić żadnej informacyi, — Artykułu „Ojczyzna" dla braku miejsca na razie zamieścić nie możemy.

Sewerynie i innym autorkom i autorom nadesłanych wierszy w ostatnim czasie. — W *„dobre"* wiersze jesteśmy zaopatrzeni zawsze, więc prosimy bardzo nie przysyłać nam żadnych wierszy, bo „szkoda czasu i atłasu!"

Panu Stanisławowi P. w Castrop. — Życzone książki naszego wydawnictwa są wyczerpane. „Męczennica w koronie" jako też i „Śpiewaczka ludowa" wyjdą później w książkowym formacie.

NADESŁANE.

Do całego nakładu numeru dzisiejszego dołącza się jako nadzwyczajny dodatek Katalog gwiazdkowy księgarni **A. Cybulskiego** w miejscu, zawierający niemniej jak **1890** różnych tytułów.

Wybór, co prawda ogromny, a niepodobna ująć wszystkiego w ramy olbrzymiego katalogu, który wobec zapasów, znajdujących się na składzie, okazuje się zawsze jeszcze za szczupłym.

Polecamy go zatem uwadze Czytelników naszych jak najgoręcej.

* * *

Do dzisiejszego numeru „Pracy" dołączona jest oferta na sezon gwiazdkowy *M. Schneidra,* domu towarowego w największym stylu w Poznaniu, przy ulicy Berlińskiej nr. 19, obok teatru polskiego.

* * *

Miód lekarstwem.

Już od tysiąca lat jest miód znanym i uznanym środkiem leczniczym. Jest to bez zaprzeczenia najnaturalniejszy wyskok z ziół, zawierający w sobie niemal wszelkie środki lecznicze, to też używają go skutecznie w różnych chorobach. Atoli zaleca się z wielu względów używać go tylko zawartego *w piernikach i to w prawdziwych piernikach toruńskich.* Tak przepisuje między innemi lekarz-specyalista w chorobach żołądkowych, profesor Valentini w Gdańsku i radzi pacyentom spożyć do kawy lub herbaty rano i po południu 2 do 3 toruńskie katarzynki, to też prawdziwych, dobrych toruńskich pierników nie powinno nigdy zabraknąć w żadnem gospodarstwie. Nabyć można u firmy *„Herrmann Thomas"* w Toruniu, której specyalnością jest wyrób *toruńskich katarzynek.*

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Dział kobiecy.



Piękność jako reklama.

Nigdzie może reklama nie posługuje się tak bardzo portretami kobiecemi w celach zjednania sobie jak najszerszej klienteli, jak w Ameryce. W Europie, a zwłaszcza we Francyi, można spotkać się z bardzo pięknemi ogłoszeniami, których główna siła tkwi w bogatych ornamentacjach, albo w fantastycznym rysunku, po większej zaś części we wrażeniu, jakie wywiera postać pięknej kobiety mniej lub więcej dekoltowanej. Amerykańska pruderja nie zezwoliłaby na nic podobnego. Jankesi mogą w skrytości hołdować rozpasaniu, lecz nie ścierpieliby nigdy tego, żeby tłum uliczny gapił się na podobizny mniej lub więcej słodkich Fryn współczesnych. Kobieta na amerykańskich ogłoszeniach musi być od stóp do głowy ubrana i zapięta.

Reklama amerykańska pozbawiona jest w ten sposób jaskrawego, bezpośredniego środka reklamowego, tak często nadużywanego w Europie, że aż graniczy nieraz z pornografią, a nie chcąc całkowicie wyrzec się tych wszystkich ponęt, którémi kobieta zwraca na siebie uwagę, rzucili się do spekulacji, opartej na wrażeniu, jakie wywiera piękna twarz kobieca. Ztąd w Ameryce tak niesłychany popyt na ładne twarze. Ztąd słusznie młoda Amerykanka ceni bardzo wysoko swoją buzię i uważa piękność za kapitał, który powinien dobrze procentować.

Wśród kobiet, pozujących fotografom w celach reklamy, nie brak takich, które należą do klas zamożniejszych: uważają to za swój uboczny dochód. Lecz te szanują się niezwykle i nie pozwalają użyć swych fotografii do byle jakiego ogłoszenia. Ktoby w pracowni amerykańskiego fotografa przysłuchał się układom, toczącym się między nadobnemi córami jankesów a jakimś fabrykantem, marzącym o tem, że nareszcie piękna kobieta będzie trzymała w ręce np. mydło jego wyrobu lub mniej więcej szlachetne utensylja na olbrzymich afiszach i będzie oczyma i uśmiechem zachwalała owo mydło lub owe utensylja płynącej ulicami publiczności — ten nabrałby pewnego wyobrażenia o „wysokiem poczuciu artystycznem“ Amerykanek.

„Nie będę trzymała w ręce lichtarza — powie ładna miss głosem stanowczym. — Moja twarz za ładna do lichtarza. Zresztą daje pan zbyt liche wynagrodzenie. Jeśli fotograf zmieni mi rysy, to przyjmę pięć gwinei — ale tak bez zmiany nie przystanę na mniejsze honorarjum od stu gwinei.“ (3,000 marek.)

Albo inna estetyczna miss zawyrokuje, że „nie będzie trzymała w ręce trzewików, bo narzeczony z nią się nie ożeni.“

Rzecz naturalna, że dziewczęta, szukając zarobku za jakąkolwiek bądź cenę, nie targują się zbytnio i gotowe są trzymać na afiszach wszystko, co im się każe, nie wyłączając żadnej części garderoby czy bielizny tak żeńskiej, jak męskiej.

Natura jednak niezbyt hojnie obdarza wdziękami płeć „piękną“. Jeden z prawdziwych artystów-fotografów, mr. Abbey z Nowego, Jorku skarżył się, że wyszukać piękny model jest rzeczą nadzwyczaj trudną i zawodną. Fotografia nie kłamie, kamera nie pochlebia. Przeciwnie, nieraz piękny model przedstawia się na fotografji gorzej niż w rzeczywistości. Na różnicę tę wpływają te same przyczyny, jakie wpływają na to, że pewna kobieta, uważana za piękną, staje się nieładną po niejakim czasie. Kobieta, której cała piękność polega na świeżej cerze, zdrowych rumieńcach, purpurowych wargach, pulchnej buzi, błyszczącem oku, niech utraci to wszystko, a nie mając ślicznych rysów, będzie brzydka. Te zaś właśnie przymioty giną na fotografji.

W dalszym ciągu pruderja, panująca wszechwładnie w życiu amerykańskiem, w stopniu nawet wyższym niż w Anglji — niechętnie patrzy na zabiegi, podjęte w celu wyszukania pięknego modelu, o ile te zabiegi przekraczają prywatną inicjatywę. Redaktor londyńskich *Photographic News* powiada, że kiedy był w Ameryce, jeden z jego przyjaciół, wielki fabrykant nożów, prosił go, aby się zajął wyszukaniem dziewczęcia o pięknych rysach twarzy, bo sam się na tem „nie zna.“ Zresztą doprowadzony był już do rozpaczy bezowocnością własnych starań, chociaż ofiarował znaczną sumę pieniężną, jako honoraryum za pozowanie.

„Ułożyliśmy — pisze ów redaktor — ogłoszenie następującej treści: „Poszukuje się młodej pięknej panny, któraby pozwoliła sfografować głowę cieszącemu się dobrą sławą fotografowi. Wymagany piękny profil i ciemne włosy.“

Nie widziałem nic w tem złego, — mówi dalej ów Anglik — lecz ku mojemu zdumieniu dwa codzienne pisma i dwie ajencye, do których zwróciliśmy się z tem ogłoszeniem, inaczej zapatrywały się na tę sprawę i odrzuciły nam ogłoszenie ze względów moralnych. Wobec tego mój przyjaciel udał się do fotografa, który za dobrą zapłatą przysłał mu wprawdzie piękną głowę, lecz każdy, kto choć trochę znał się na tem, mógł spostrzedz, że głowa nie była zdjęta z natury, lecz z obrazu.“

Przy tem wszystkiem, jak to już wyżej zaznaczyłem, piękność prawdziwa jest nader rzadkiem zjawiskiem. Jeden z najsłynniejszych fotografów Stanów Zjednoczonych powiada w jakiemś piśmie, że z 3,000 panien, które zgłosiły się do niego w celach zarobkowania, uważając się za piękne (a piękne miały te i owe części twarzy) mógł wybrać zaledwie 50.

Ciekawa rzecz, ileby ten sam fotograf wybrał pięknych kobiet z owych 3,000, gdyby chodziło mu nietylko o śliczne buziaki, lecz także o harmonijną budowę ciała. Czy wybrałby choć jedną?

mm.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Czy kartofle tegoroczne są szkodliwe?

W roku bieżącym powinniby tryumfować przeciwnicy kartofli, przypisujący temu produktowi wszystko to, co można tylko największemu zarzucić wrogowi. Jego to mianowicie winą miało być wyludnienie Irlandji, on to sprowadził „wyradzanie się" naszego ludu; ba, wpływał nawet na defigurację talji Kasiek i Marysiek, podobnie jak korzenie i glina, używane za pokarm, wywolują rozstrzeń żołądków wśród mieszkańców Ziemi Ognistej. Otóż w tym roku, wskutek niebywałego nieurodzaju kartofli i niezwykle wysokiej ich ceny, jak należałoby oczekiwać z dalszego rozumowania tego rodzaju „socjologów," lud nasz odradzać się zacznie i Kasie wraz z Marysiami będą mogły nareszcie nałożyć gorsety.

Ale ukazują się też poważne rozprawy o kartoflach, jako wyłącznem prawie pożywieniu ludu. Nieraz też łamano sobie głowy nad pytaniem: czem można i należałoby zastąpić ten tak ubogi w części białkowe produkt rolny? Faktem jest bowiem, że kartofle pod tym względem nie wytrzymują porównania z żadnym używanym gdzieindziej środkiem odżywczym: ani z ryżem, ani z pszenicą, a tem bardziej z pożywieniem mieszanem mięsnem.

Z wielką też dozą słuszności doradzano po wielekroć zamianę kartofli na inny produkt, między innemi na groch, który miałby lud zaprowadzić do dobrobytu, podobnie jak niegdyś w kiełbasach bismarkowskich prowadził Prusaków na Paryż.

Tymczasem po dawnemu po wsiach nie przestają sadzić kartofli, po dawnemu trzy razy dziennie podają je na stół to z mlekiem, to z okrasą, to bez okrasy. Nie dość tego. Jakby na przekór, kartofle rozpowszechniają się coraz bardziej w miastach i, nie poprzestając na ogniskach domowych, zjawiają się wszędzie, figurując codziennie w *menu* restauracji.

A dzieje się tak z tej prostej przyczyny, iż jest to produkt powszechnie u nas lubiony i dostępny, a co najważniejsza, produkt najłatwiej dostosowujący się, przynajmniej w wielu okolicach kraju naszego, do właściwości gleby i warunków klimatycznych.

Faktem jest także niepodrzędnym ta mianowicie okoliczność, że ani groch, ani kalafjor, ani żaden produkt podobny nie mógłby stanowić codziennego, jak kartofel, pokarmu.

„Gdy niema nic, dobry chociaż rydz" — mówi przysłowie, słuszne nawet z czysto hygjenicznego punktu widzenia; nawet bowiem znane ze swojej niestrawności grzyby mogą uchronić od tyfusu głodowego. Nie da się zaprzeczyć, że jeżeli lud nasz nie podlega perjodycznemu, jak to bywa gdzieindziej, głodowi, zawdzięcza to jedynie kartoflom.

Oto powody, dla których sprawa kartofli nie da się rozstrzygnąć jednem pociągnięciem pióra i dla których jest ona kwestyą pierwszorzędną w życiu mas szerszych . Ztąd wynika, że tutaj wszelkie za i przeciw winno być wypowiadane z wielką oględnością i powściągliwością.

Na wstępie zaznaczyłem, że nie zawsze tak było. Dziś spotykamy się z faktem podobnym. Mam tu na myśli wiadomość, która niemałe musiała wywołać wrażenie, mianowicie o szkodliwości dla zdrowia kartofli tegorocznych w miejscowościach, nawiedzonych przez powódź. Wiadomość taką, opartą na badaniach pana Prusinowskiego, podała niedawno „Gazeta Kaliska", a za nią powtórzyło „Czasopismo lekarskie".

Oto co pisze pan P.

„W okolicach, które doznały nawodnienia, najwięcej ucierpiały kartofle. Sprzedaż tych kartofli na rynkach tutejszych zwróciła moją uwagę, a przyjrzawszy się bliżej pod lupą, a następnie pod mikroskopem, zauważyłem wielkie w nich zmiany. Oprócz kartofli, widocznie nadgniłych, które już swoim rażącym względem ostrzegają, aby ich nie brać do jedzenia, także kartofle, na pozór zdrowe, przedstawiają pod drobnowidzem oprócz bakteryi saprofitycznych, właściwych kartoflom i nieszkodliwych zdrowiu, jeszcze ziarniki oraz spiryle i wibrjony, które są już chorobliwemi mikrobami kartofli, a których nawet wyższa temperatura nie zabija (przeto i po ugotowaniu mogą być szkodliwe dla zdrowia). Ziarnka krochmalu uległy w części rozkładowi, wytwarzając przytem amonjak wskutek fermentu węglowodanów. Reakcja, w zdrowych kartoflach kwaśna, przechodzi natenczas w alkaniczną. Jeżeli więc tylko najmniej nieprzyjemny odór okazują kartofle przed płukaniem lub spostrzeże się małoznaczne plamki błyszczące białawe lub brunatnawe w miejscach pęknięcia skórki lub pod skórką, nie należy używać ich do gotowania."

Pomijamy już stanowczość, z jaką pan P. ogłasza wyniki swoich badań w gazecie niespecjalnej, a która mogłaby wywołać przedwczesny popłoch między publicznością. Zaznaczymy natomiast, że wnioski jego nie są poparte dość poważnemi argumentami i opierają się głównie na danych teoretycznych. Nie wspomina pan P. przedewszystkiem, w jakiej porze brał okazy do badania: czy latem, czy na jesień? Wiadomo bowiem, że w czasie deszczów kartofle mogą przebywać chorobę, która niszczy pewną część okazów, pozostawiając do kopania resztę zupełnie zdrową. Powtóre, jak również wiadomo, na najzdrowszym kartoflu, jako produkcie ziemnym, bakterjolog bardzo często może znaleźć bakterje chorobotwórcze, posiadające swoje zarodniki w ziemi.

Ztąd ta cała dość uciążliwa i wymagająca pewnej wprawy manipulacja obierania kartofli, usuwająca skrzętnie z powierzchni jego wszystkie miejsca zetknięcia z ziemią. Czy wreszcie bakterje chorobotwórcze lub ich zarodniki, mogące przeniknąć do wewnątrz, zachowują tam swoją żywotność nawet po ugotowaniu dobrze oskrobanego kartofla, o tem trudno sądzić, ponieważ ile wiem, nikt ich nie badał w tych warunkach.

Pozostaje jeszcze jedno do rozwiązania. Jeżeli już nie bakterje i zarodniki, to jady, przez nie produkowane, t. z. toksyny, jak wiadomo, wytrzymujące działanie zarówno temperatury wysokiej, jak soku żołądkowego, mogłyby czynić kartofle źródłem zachorowań. Tutaj jednak nie wystarczają badania laboratoryjne, lecz zachodzi potrzeba jeszcze obserwacji klinicznych, t. j. wskazania choć jednego faktu, że naprzykład w danej okolicy było tyle a tyle zachorowań z jednakowemi objawami i że jednocześnie wykryto bakterje chorobotwórcze w kartoflach, które ludność tej okolicy spożywała. Ponieważ pan P. faktów takich nie przytoczył, więc wnioski jego musimy uznać za nieuzasadnione i przedwczesne. O niczem podobnem też z innych stron po wykopaniu kartofli nie doniesiono.

Dr. J. Idzikowski.
(*„Kuryer Warszawski."*)

Dodatek Humorystyczny.

Uprzejma.

Małe wyznanie dziś przed Wami
Pragnę uczynić szczerze!
Lecz — z moralistów — niechaj żaden
Za złe mi go nie bierze...
Bo przecież z każdym (któż zaprzeczy?
Zdarzyć się może różnie,
Zwłaszcza, gdy w łonie swem hoduje
Serce a nie zaś próżnię.
Otóż—wyciągam smutną kartę
Ze wspomnień mych krynicy:
Raz się kochałem bez pamięci
W uroczej baletnicy
Proszę się nie śmiać! Nie miłostka
To była, nie fantazya...
A ona — cnoty była wzorem,
Nie żadna tam Aspazya...
Więc hodowałem ten kwiat rzadki
W cieplarni mego serca,
I gotów byłem do ślubnego
Prowadzić go kobierca...
Bo cóż mam taić, że pałałem
Sercowym ku niej Zniczem?...
A przecież... przecież... najhaniebniej
Skończyło się na niczem...
I gdybyż — klęski tej przyczyną
Była jej zdrady siła!...
Lecz gdzież! Dwa serca kochające —
Uprzejmość jej zabiła!...
Tak jest: uprzejmość! Bo powiedźcie,
Czyż to nie strasznie złości,
Kiedy kobieta ma dla wszystkich
Zbyt wiele uprzejmości?...
W wysokim stopniu rozwinięty
Ten przymiot miała ona,
Więc mi się zdało, że najdroższa
Dla wszystkich jest stworzona...
Bo niemal codzień dochodziły
Ponure do mnie wieści,
Że moją lubą z tym lub owym,
Widziano razem gdzieści....
A kiedym rzekł jej, że tak czynić
Poprostu nie przystoi,
Ona odrzekła mi z uśmiechem:
— Niech się pan nic nie boi!
Do złego jam nie zdolna przecież,
Po cóż więc ton zazdrości?!...
Ja tylko pragnę dla znajomych
Być pełną uprzejmości... —
Istotnie... ona miała racyę:
Od pokus była zdala!
Uprzejmość zasię dla znajomych
Nie szpeci ani kala...
Mnie jednak wkrótce ta uprzejmość
Stanęła kością w krtani...
Za drogo by mnie kosztowała,
Więc rzekłem: — Żegnaj pani! —
. . . .
Dziś w melancholii pędząc żywot
Z starganem sercem w łonie,
Z uczuciem żalu dumam często
O mej niedoszłej żonie
I dla młodzieży tę sentencyę
Mam dziś z doświadczeń męki:
Nie ofiarujcie baletnicom
Uprzejmym: serc ni ręki...

Pigmalion.

Otwarty.

— Więc bankier X. jest pańskim pacyentem..... Jak długo potrwa jego choroba?

Lekarz: W każdym razie długo, wszak jest milionerem.

Także talent.

Opiekun: Nie pojmuję, jak możesz tak dużo pić?

Student: Ja sam się nieraz dziwię.... ale to musi być wrodzony talent.

Geniusz handlowy.

Ojciec: Jak ci, Władziu, podoba się twój nowy braciszek, którego ci bocian przyniósł?

Władzio: Czy to on sam już jest, tatusiu, czy to tylko próbka?

Jasne i zrozumiałe.

Obraz twój bardzo mi się podoba, ale powiedz mi, dlaczego aniołowie na wszystkich twoich obrazach mają czarne włosy?

— Moja żona blondynka.

Niezawodny sposób.

Właściciel podmiejskiej restauracyi: Wojciechu, idźcie no i nasypcie trochę tłuczonego szkła na drogę, żeby te cyklisty do nas zajechały.

Naiwny.

Wuj: Będzie z pewnością zmiana powietrza. Czuję to po swoich odciskach.

Staś: Nieprawdaż wujciu, jak ma być ładnie na dworze, to dostajesz ładniejszych odcisków?

Cynik.

Rzekł cynik:—Gdyby świat był w moich ustach śliną,
Wrazbym splunął, tą racyą wzmożony jedyną!
— Lituj! rzekłem — skąd taka zawziętość szeroka,
Wystarczy, kiedy spluniesz siebie do rynsztoka!

Pragnienie.

Wołał ktości, ogromnej ufając otusze:
Punkt oparcia mi dajcie, ziemię z posad ruszę!
Ja na mniejszem przestaję: — Dajcie sto tysięcy,
A znajdę punkt oparcia, nie pragnąc nic więcej!

Zimna krew.

— Jak wiecie, mam dobre skrzypce po ojcu, a żona ma nowy fortepian, więc dzięki muzyczce goście bawili się u mnie — pochlebiam sobie — niezgorzej. W tem... pęka struna u skrzypiec, ja gram dalej; pęka druga struna, trzecia... gram dalej. Pęka czwarta struna — ja nic nie pytam — gram dalej.

— Jakto?... pan grałeś na skrzypcach bez strun?

— Ale gdzietam!... Ja z najzimniejszą krwią grałem... w winta. Mój kuzyn tak wyrzynał, póki strun starczyło.

— I nie miałeś pan zapasowych strun do nawiązania!

— Ba, żeby mi wszystkie struny pozrywał? Kuzynek jak się roznamiętni w graniu, to smyczka nie żałuje. On nie ma takiej zimnej krwi, jak ja!

Zaprosiny.

Pani X.: Zaprosiłam państwa Adamów i państwa Marcinów na obiad; wiesz żeśmy im oddawna winni zaproszenie.

Pan X.: Ale przecie wiesz, że oni się nie mogą znosić; pokłócili się jeszcze rok temu.

Pani X.: To też myślę, że nie przyjdą, a gościnności stanie się zadość.

Dział powieściowy.

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

24)

(Ciąg dalszy.)

— Jesteś nadzwyczaj uprzejmy!

— Możesz wszystkiego odemnie żądać, bo szanuję cię niezmiernie. Ale za to nie wyrządzisz mnie ani memu przyjacielowi żadnej krzywdy, nieprawda? Co ci może zależeć na naszem życiu lub śmierci? Nie wejdziemy ci nigdy w drogę i nie zdradzimy cię, o tem możesz być jak najmocniej przekonanym.

— Chciałeś mi dać klucz od skarbca? — zapytał kapitan spokojnie.

— Tak otóż tu jest! —

Horn wyjął czemprędzej cały pęk kluczy z kieszeni, i odczepiwszy najmniejszy, podał go kapitanowi.

— Nie trudź się, — zawołał rozbójnik, — ten jeden klucz nie wystarcza mi, ja chcę wszystkie!

Z ciężkiem westchnieniem położył je leśniczy na stół.

— Dziękuję ci, — rzekł rozbójnik z pewną uprzejmością, — więc ten mały, wązki kluczyk otwiera drzwi skarbca! A który otwiera drzwi szafy, w której znajdują się twoje oszczędności? Zapewne jest to ta mała szafka tam przy oknie.....

Horn zbladł, bo znajdował się tam rzeczywiście jego majątek w ilości 24,000 guldenów.

Pieniądze te nie były wcale oszczędzone z jego dochodów — umiał on tak zręcznie oszukiwać swego pana i wyzyskiwać tak okropnie biednych, że w przeciągu kilku lat ułożył sobie już tę pokaźną summę.

— Tak, — rzekł drżącym głosem, — tam jest cały mój majątek, ale — przecież.....

— Milcz, mój kochany! Hej, Leonie!

Młody rozbójnik przybiegł do dowódzcy.

— Czego sobie życzysz, kapitanie?

— Otwórz tam tę szafkę przy oknie i zobacz, czy tam są pieniądze. Weź je — później rozliczymy się!

Horn popadł teraz w rozpacz prawdziwą.

— Nie bierz mi tego, — krzyczał, targając sobie włosy, — nie bierz mi mego majątku! Z czegóż ja mam żyć na starość! Zarobiłem je sobie uczciwie, a ludzie mówią.

— Żeś skończony łotr, — przerwał Henryk pogardliwie. — A teraz dosyć komedyi. Rozmówimy się, jak przystało na oskarżonego i sędziego!

Henryk wstał i zbliżył się do leśniczego, który drżał ze strachu przeczuwając, że czeka go coś okropnego!

— Nędzniku! — krzyknął Henryk, — myślisz, że ja jestem zwyczajnym złodziejem, który napada w nocy i rabuje biednych ludzi? Przysięgam na Boga, że opuszczę zamek ten bez ruszenia jednego chociaż przedmiotu. Mógłbym zabrać wszystko, srebro i złoto, bo klucz od skarbca trzymam w ręku. Ale ja nie chcę! Ja biorę pieniądze tylko tym, których ukarać zamierzam. Pójdźcie tu wszyscy, kochani towarzysze, pragnę z wami pomówić.

Leon skinął na dalej stojących i na tych, którzy byli w sieni, i w jednej chwili zapełnił się pokój rozbójnikami. Każdy z nich miał maskę na twarzy.

I każdy był uzbrojony w strzelbę i sztylet za pasem, niektórzy zaś mieli jeszcze siekiery lub latarnie, których ostre światło dziwny blask rzucało na ciemne te postacie.

Horn i Bondi stali obok siebie. Horn zaczynał przytomność tracić z przerażenia, Bondi szeptał mu po cichu, aby nie tracił odwagi, ale i jemu położenie to stawało się zwolna bardzo nieprzyjemnem!

Jednym z ostatnich, którzy weszli do pokoju, był stary, wysoki i chudy mężczyzna, także zamaskowany. Biała broda wypływała z pod maski, ruchy jego zaś były prędkie, jak gdyby go niecierpliwość popychała.

— Czego sobie życzysz, kapitanie? — rzekł ochrypłym głosem.

— Chcę wam wszystkim powiedzieć kilka słów, — odparł Henryk, — słuchajcie uważnie. Przyprowadziłem was tu, moi towarzysze ,do tego wspaniałego zamku, z którego spodziewaliście się pewnie, jak zwykle, zabrać najkosztowniejsze przedmioty. Jest tu rzeczywiście dużo skarbów! Ale dziś nie jesteśmy złodziejami, dziś ustanowię was sędziami nad dwoma łotrami, w porównaniu do których jesteście niewinnymi jak aniołowie. Wydacie dziś sąd sprawiedliwy! Proszę was tylko, nie bierzcie nic z zamku —bo to nie jest własność tych dwóch nędzników! Zamek ten należy do księcia Adama Starzyckiego, ale zabrano mu go i wypędzono nieszczęśliwego. Tuła on się bezdomny po świecie i jest żebrakiem, on, który właściwie posiada miliony! Wszakże żaden z was nie ruszy własności tego nieszczęśliwego?

— Nie, — odpowiedzieli rozbójnicy jednogłośnie.

— Dziękuję! Abyście jednak z dzisiejszej wyprawy nie wrócili z próżnemi rękami, otrzyma każdy z was po dziesięć dukatów.....

— Ja nie chcę pieniędzy, — przerwał stary rozbójnik niecierpliwie, — ja się zrzekam mej części!

— Ja też — ja też — odezwały się głosy w około.

— Jak chcecie! Ale teraz zwiążcie tych dwóch łotrów!

Horn krzyknął przeraźliwie, gdy usłyszał te słowa i schwyciwszy się obydwiema rękami pieca nie ruszał się z miejsca. Stary rozbójnik jednak szarpnął nim tak mocno, że wysoki ten i silny mężczyzna upadł natychmiast na ziemię. Potem przyskoczyli inni, i w mgnieniu oka związali mu ręce i nogi.

Z Bondim miała się rzecz inaczej.

Zaledwie usłyszał słowa kapitana, gdy rzucił się jak szalony ku niemu, krzycząc:

— Jakiem prawem chcesz mnie kazać związać? Radzę ci, nie odważaj się na to! Ja nie jestem takim prostakiem, jak leśniczy Horn, taki człowiek jak ja nie znika bezkarnie ze świata! Jestem ulubieńcem Wielkiego księcia Konstantego, mam wpływowe stanowisko w Warszawie, biada ci, jeżeli mi jaką krzywdę wyrządzisz! Wydałbyś tem wyrok śmierci na siebie, bo tysiące żołnierzy przeszukałoby te lasy i schwytałoby ciebie wraz z twemi towarzyszami. Książę Konstanty pomścił by srogo moją śmierć!

— Kłamiesz, baronie Bondi, — odpowiedział spokojnie kapitan, — byłeś niegdyś faworytem księcia Konstantyna, ale straciłeś dawno już jego łaskę i dziś nie jesteś niczem innem, jak prostym awanturnikiem, który ma jedyne życzenie oszukiwania i okradania wuja swego, hrabiego Dernburga. Gdybyś nie był popełnił już tyle złego w twem życiu, nie ukarałbym cię tak surowo, ale teraz nie chcę z tobą dłużej mówić — resztę dopowiem ci na innem miejscu — tam, gdzie sprawiedliwość zostanie ci wymierzoną. Leonie, bierz go — za długo mi już żyje ten człowiek!

Jednym skokiem był Leon przy Bondim, który stał nieruchomy, nie myśląc o obronie i porywając go jak pióro, rzucił na ziemię. Potem postawił nogę na piersiach.

— Mam go zabić? — zapytał Henryka.

— *Nie, — brzmiała odpowiedź kapitana, — my nie mordujemy, my sądzimy. Wydamy wyrok na niego, on musi wiedzieć dlaczego umrze!* Zwiąż go i zaknebluj — ale spiesz się, noc kończy się już niedługo, trzeba nam wracać do domu, a wykonanie wyroku zajmie nam też jeszcze dużo czasu.

Pomimo rozpaczliwych wysiłków obydwóch przyjaciół, związano ich i wyniesiono do lasu. I podczas kiedy rozbójnicy uchodzili z skazanymi, został Henryk na chwilę jeszcze w zamku, chcąc obejrzeć dawniejsze mieszkanie swego drogiego przyjaciela.

— Biedny Adamie — myślał, zdejmując maskę — wszystko to jest twoją własnością, a tułasz się po świecie, jak nędzarz, który nie wie, gdzie wieczorem zmęczoną ma położyć głowę. Zamiast na miękkiej pościeli, musisz sypiać w jaskiniach leśnych, zamiast wybornych potraw, jesz jagody i korzonki! Ach, gdybym ci mógł oddać ten zamek wspaniały i walczyć z tobą razem przeciw tym, którzy ci wszystko zabrali! Ale gdzie szukać ciebie! W każdym razie będę czuwał nad twoim zamkiem i nie pozwolę, aby tu czegoś nawet dotknięto!

Potem włożył Henryk znowu maskę i poszedł także do lasu, do czekających na niego towarzyszów.

— Idźmy do lisiej jamy — rzekł krótko.

On sam szedł naprzód, za nim rozbójnicy postępowali w milczeniu.

Henryk zamyślił się głęboko.

— Czy ja mogę ich sądzić — mówił sobie w duszy — czy mam prawo zabijania tych, których za złych i podłych uważam? Kto mi pozwala rządzić życiem i śmiercią bliźnich? Nie, mnie nie wolno ich zabijać, muszę ich tylko uczynić nieszkodliwymi! Może jednak śmierć takich dwóch łotrów byłaby dobrodziejstwem dla całej ludzkości. Horn zasłużył na śmierć, bo uwiódł Kasię i tyle innych już dziewcząt, jest on gorszym, niż morderca! A cóż dopiero Bondi! Czy jest większy łotr na świecie jak on! Jest on szpiegiem, zdrajcą — chciał uwieść Teresę — nie, dla niego nie ma litości i miłosierdzia!

Tymczasem zbliżyli się rozbójnicy do miejsca w lesie, zwanego lisią jamą.

Nazwa ta bardzo była odpowiednią — pomiędzy wysokiemi bowiem skałami wiodła wązka droga do głębokiej jamy, ukrytej tak, że tylko wtajemniczeni mogli ją znaleść. Nikt inny nie byłby nawet przypuszczał, że tam znajduje się jakaś kryjówka.

Głęboka cisza panowała w lesie, — cisza i ciemność — najlepsi sprzymierzeńcy zemsty.

I szła zemsta przez las — dzika, niepohamowana i teraz — stanęła u celu.

ROZDZIAŁ LVIII.

Siedem kul.

Na znak Henryka, złożono obydwóch łotrów na śnieg i zdjęto z nich więzy.

Horn był tak znękany, że ledwie mógł głowę podnieść, twarz jego była sina, a zęby uderzały mu jeden o drugi, jak w najgwałtowniejszej febrze.

Bondi sądził, że dumną i wyzywającą miną zaimponuje rozbójnikom, stał więc wyprostowany i wyniosły i patrzał na kapitana z wyrazem pogardy i złości.

Byłby on dał niewiedzieć co za to, gdyby był mógł odgadnąć, kto się pod tą maską ukrywa. I znów przyszedł do przekonania, że to nie rozbójnik zwykły, napadający ludzi — nie, to musiał być ktoś zupełnie inny, znający jego nazwisko i przeszłość.

— Najpierw leśniczy! — zawołał Henryk.

Dwóch opryszków pochwyciło Horna i przywlokło go przed kapitana.

— Sprawa twoja będzie natychmiast rozstrzygniętą, — rzekł Henryk. — Słuchaj o co cię oskarzam: uwiodłeś dziewczynę, uczciwą i cnotliwą aż do chwili, w której weszła do twego domu. Nieszczęśliwa była twoją służącą, powinieneś więc był się nią opiekować i strzedz od wszelkiej pokusy. Postąpiłeś tymczasem względem niej, jak ostatni łotr. Jak się ma bronić taka biedna dziewczyna? Gdyby się oparła twoim żądaniom, wypędziłbyś ją bez litości i mściłbyś się na niej bez końca, zresztą przyrzekłeś jej małżeństwo i oszukałeś ją haniebnie. Przyznajesz się do tego podłego czynu?

Horn załamał ręce.

— To nie prawda, — jąkał bez tchu prawie, — oczerniono mnie — ja — nie uwiodłem — żadnej dziewczyny — nie, nigdy nie popełniłem czegoś podobnego.

— Więc niech ci powie ten, który ma do tego wszelkie prawo, żeś nikczemnik, jakiego nie znam drugiego.

Henryk skinął ręką, a do leśniczego zbliżył się teraz ów stary rozbójnik i zdjął maskę z twarzy.

— Wójt! Kamczyk! — krzyknął Horn, — jestem zgubiony!

Kamczyk już wyciągał ręce, aby pochwycić łotra i zmiażdżyć go, ale na znak Henryka cofnął się nieco.

— Znasz mnie? — zawołał, — znasz mnie? Wiesz, kto jestem?

— Tak — jesteś — ja — znam —

Horn nie mógł mówić, tak drżał ze strachu.

— Przypominasz sobie, jak raz przyszedłem do ciebie, do Łąki?

— Tak — tak. —

— I kogo przyprowadziłem z sobą? Zbierz wszystkie myśli twoje i przypomnij to sobie.

— Twoją — córkę.

— Moją córkę Kasię, widzę, że nie zapomniałeś. Oddałem ci ją w służbę — ale powiedz mi, co ci mówiłem, zostawiając ją w twoim domu?

Horn milczał. Zdawało się, że straci zmysły. Obydwoma rękami trzymał głowę, upadł na kolana i wlókł się po śniegu, i osłupiałym wzrokiem wpatrywał się już to w Kamczyka, już to w kapitana, który całe badanie pozostawił teraz Kamczykowi.

— Nie wiem, — odezwał się znowu Kamczyk, — po co ja wogóle z tobą jeszcze rozmawiam. Radzę ci, zbierz prędko myśli i powiedz mi, co ci mówiłem owego dnia!

— Nie wiem! Zapomniałem!

— Zapomniałeś?

Kamczyk pochylił się i położył swoją ciężką pięść na głowie klęczącego.

— Zapomniałeś? — powtórzył głucho, — to dobrze! ja ci przypomnę! Powiedziałem ci więc tak: panie leśniczy, otóż tu jest moja córka Kasia, córka biednego i nieszczęśliwego człowieka, który wiele przeszedł w życiu cierpień i przykrości, ale który wychował dziecko swoje na uczciwą i cnotliwą dziewczynę i dał jej takie wykształcenie, na jakie stać go było. Kasia jest silną i zdrową na ciele i duszy. Oddaję ją panu z tem zaufaniem, że nic jej złego w domu twym nie spotka — nie zapomnij, że to moje jedyne, najdroższe dziecko.

Słowa Kamczyka głębokie na słuchających wywarły wrażenie. Głośne szemranie dało się tu i owdzie słyszeć.

— Przypominasz sobie, co mówiłem? — krzyknął Kamczyk piorunującym głosem.

— Tak!

— I wiesz, co na to odpowiedziałeś?

— Tak!

— Powtórz słowo w słowo!

— W moim domu — będzie waszej córce tak dobrze — jak — u was! Umiem szanować — niewinność.

— Ach łotrze! Umiesz szanować niewinność! — powtórzył wójt z wściekłością. — A ja wierzyłem ci! Tem więcej, że niedawno pochowałeś żonę! Kapitanie, daj mi pozwolenie zgniecenia tej żmiji jadowitej, będę ci za to służył wiernie całe moje życie. Ach, gniew dusi mnie.....

— Słyszałeś, — odezwał się teraz Henryk do leśniczego, — o co cię oskarżamy. Zaprzeczasz temu, czy też przyznajesz się do wszystkiego? Odpowiadaj prędko, bo mamy jeszcze jednego łotra do osądzenia!

Bondi zadrżał.

Stał on pomiędzy dwoma opryszkami, i napróżno oglądał się, czy nie mógłby się ratować ucieczką. Ale poznał wnet, że o tem ani mowy być nie mogło. Ledwie by się ruszył, zastrzelono by go bez miłosierdzia.

— Przyznajesz się do winy? — zawołał teraz Henryk szorstko.

— Nie! nie! nie! — krzyczał Horn w szalonej trwodze.

— — Kłamiesz!

I Leon wypadłszy z pośród opryszków, rzucił się z tym okrzykiem na leśniczego, uderzając go tak silnie, że łotr aż zawył z bólu.

— Wiemy wszyscy, co on zawinił, — odezwał się Henryk, i osądźcie, na co zasłużył? Mówcie śmiało i osądźcie sprawiedliwie. Na co zasługuje człowiek, który uwodzi biedną dziewczynę kłamstwem, a potem wypędza ją z domu i bije szpicrutą? Na, co zasługuje?

— Na śmierć! — odrzekli rozbójnicy jednogłośnie.

— Namyślcie się jeszcze lepiej, nie wydawajcie wyroku za prędko.

— Horn zasłużył na śmierć, — odrzekł jeden z opryszków, a wszyscy powtórzyli za nim:

— Na śmierć! Na śmierć!

Henryk zbliżył się do leżącego na ziemi Horna,

— Słyszałeś twój wyrok! Za trzy minuty umrzesz, przeżegnaj się więc chociaż!

Leśniczy zerwał się i krzyknął przerażająco — był to prawie już ryk zwierzęcy. I patrzał na Henryka błędnemi oczami, jak gdyby nie rozumiał słów jego.

— Pogódź się z Bogiem, — rzekł Henryk, — zmów pacierz..... trzy minuty wnet miną....

— Trzy minuty! trzy minuty! — powtarzał Horn bezmyślnie.

Potem obejrzał się i głośnym wybuchnął śmiechem.

— Ach to żart! — bełkotał, — żart — przecież mamy zapusty — ha, ha, ha, doskonały figiel! Udawają, że chcą mnie zabić, wyprowadzają do lasu, a potem idziemy wszyscy do karczmy!

— Nie udawaj szalonego! — krzyknął Henryk, — znamy się na takich sztuczkach. Powtarzam ci raz jeszcze, zmów pacierz, masz tylko już dwie minuty! Proś Boga, aby się zmiłował nad twoją grzeszną duszą!

— Bondi! Bondi! — krzyknął nagle Horn, zwracając się do przyjaciela, — powiedz mi, czy to sen? Ratuj mnie! Ratuj mnie! Jeszcze tylko dwie minuty mam żyć....

— Nie, tylko jednę teraz, — zawołał Henryk. — Opamiętaj się, łotrze, jednę masz tylko minutę!

— Puszczajcie mnie! — jęknął Horn i rzucił się na rozbójników, — ja chcę odejść ztąd. — Ten las należy do mnie, ja tu panem jestem! Jak możecie się odważyć wejść tu bez mego pozwolenia! Ratujcie mnie! Kto mnie ocali, temu dam zaraz trzy tysiące guldenów.

— Ostatnia minuta minęła, — rzekł Henryk poważnie. — Towarzysze, bierzcie go i przywiążcie go tam, do tego drzewa, twarzą do mnie!

Horn wydzierał się, chciał uciekać, ale dziesięć, dwadzieścia rąk wyciągnęło się ku niemu i przytrzymało go. W jednej chwili zdarto ubranie z niego i przywiązano do wskazanego drzewa.

— Puszczajcie mnie, — krzyczał nędznik, — ja się nie pozwolę zamordować! Bondi, ratuj mnie!

— Michale Kameczyku, — odezwał się teraz Henryk, — obiecałem ci, że dziś będziesz mógł pomścić twoją córkę Oddaję ci jej uwodziciela na łaskę i niełaskę! Ile masz kul przy sobie?

Kameczyk otworzył skórzaną torebkę u pasa i policzył kule.

— Siedem, — odrzekł.

— To wystarczy. Zaczynaj twoje dzieło!

Kameczyk nabił flintę, wycelował wolno i strzelił.

Kula przeszyła lewe kolano Horna, który krzyczał w niebogłosy.

Na biały śnieg spłynął strumień krwi.

— Druga kula, — zakomenderował Henryk.

Strzał padł i drugie kolano zostało zdruzgotanem.

Potem przyszła kula na obydwa ramiona.

Horn rzężał już tylko — krzyczeć nie mógł.

Ale mając nadzwyczaj silną naturę, nie stracił jeszcze przytomności.

Raz po raz wymawiał jakieś słowo — przyrzekał poprawę — prosił o darowanie mu życia, ale Kameczyk na nic już nie zważał.

Piąta kulą trafiła go w brzuch, szósta w oko.

Nieszczęśliwy umilkł już zupełnie.

— Spiesz się, bo umrze przed otrzymaniem ostatniej kuli, — zawołał Henryk.

Zaraz też padł strzał ostatni w serce i zakończył cierpienia skazanego.

W ten sposób umarł uwodziciel biednej Kasi.

W chwili, w której przestało bić serce tego nędznika, zadrżał na gałęziach drzew pierwszy promień słońca.

— Słońce wschodzi — zawołał Henryk — spieszmy się! Dłużej tu pozostać nie możemy! Chciałem dziś jeszcze osądzić tego drugiego, stokroć gorszego i niebezpieczniejszego zbrodniarza, ale już zapóźno, musimy to do jutra odłożyć.

— Co z nim zrobić? — zapytał Leon.

— Związać go, i zakryć mu twarz, zabierzmy go z sobą.

Bondi stał jak skamieniały. Widok okropnej śmierci Horna odebrał mu całą odwagę i przytomność umysłu, oraz wszelką nadzieję ratunku.

Czy to byli ludzie czy szatany, którym on wpadł w ręce! A mianowicie ów kapitan musiał być rzeczywistym złym duchem, który przyjął na siebie postać człowieka.

Ale nie zostawiono mu zbyt dużo czasu do namysłu. Związano mu ręce i nogi i zarzucono miech na głowę, potem czuł, że go niosą i w końcu te jeszcze usłyszał słowa:

— Co się ma stać z ciałem leśniczego? Mamy je pochować?

— Nie, niechaj tam wisi na pastwę dzikim zwierzętom i krukom. Niech one go rozniosą i kości jego rozrzucą!

Zimny dreszcz wstrząsnął członki Bondiego.

Więc nawet pogrzebu odmawiał ów rozbójnik tym, których zabić kazał.

Pomimo śmiertelnego strachu, jaki czuł, zważał Bondi pilnie na drogę, jaką szli. Nie widział wprawdzie nic, ale rozpoznawał po poruszeniach niosących go, że szli pod górę, pół godziny zaś później był przekonany, że wchodzą po schodach. Ale gdzie to być mogło!

Potem czuł jakieś ciepłe i duszne powietrze, nie byli więc już w lesie i nagle znoszono go na dół, do jakiegoś bezwątpienia sklepu, bo uderzyła go woń pleśni i wilgoci.

W końcu położono go na ziemi i zaraz też zdjęto miech z głowy, ale zanim się spostrzegł, zanim zdążył oczy otworzyć, oddalili się ci, którzy go tu przynieśli i zatrzasnęli ciężkie, w żelazo okute drzwi.

Bondi zerwał się natychmiast i spojrzał wokoło siebie.

Nie było tu tak ciemno, aby nie można rozpoznać, gdzie się było, Bondi wiedział też zaraz, że zamknięto go w jakimś podziemnym sklepie. Otaczały go cztery kamienne prastare ściany, wbudowane widocznie głęboko w ziemię, małe wązkie sklepienie wznosiło się nad jego głową — a w jednej z ścian znajdowały się drzwi. Zresztą nie było zgoła nic więcej, ani ławki, ani nawet słomy, na której mógłby się położyć.

W czyim to jednak domu być mogło? Czy rozbójnicy mieli jaki dom własny?

Na pytania te nie umiał sobie odpowiedzieć, i z krzykiem bezsilnej wściekłości rzucił się na kamienną posadzkę swego więzienia.

ROZDZIAŁ LIX

Pojedynek.

Wschodzące słońce nie długo się tego dnia cieszyło swoim blaskiem. Ciemne chmury zakryły je wnet, i miliony płatków śniegu okryły ziemię nową, czystą szatą.

Trup Horna, przywiązany zawsze jeszcze do drzewa, był też pokryty śniegiem, i to tak, że nikt nie byłby poznał, że pod warstwą śniegu znajduje się ciało człowieka.

Miejsce przed lisią jamą nie długo zostało próżnem, zaraz bowiem po odejściu opryszków przybyło tu trzech mężczyzn, otulonych w długie, ciepłe futra.

Najstarszym z nich i najpoważniejszym był hrabia Dernburg, towarzyszem jego młody nauczyciel Bolski. Poczciwy ten człowiek drżał o życie swego dobroczyńcy i niespokojny spoglądał nieustannie na trzeciego mężczyznę, jak gdyby u niego szukał pociechy.

Tym trzecim był doktór Fried, który od pewnego czasu został lekarzem górników u hrabiego. Trzymał on małe pudełko z narzędziami chirurgicznemi i bandażami.

Hrabia stanął teraz na środku placu i spojrzał na zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut, — rzekł, — mój przeciwnik zaraz tu przyjdzie.

Fried zbliżył się do Bolskiego.

— Będziemy więc świadkami pojedynku, — szepnął. — Wiesz pan, o co właściwie chodzi?

— Nic nie wiem, — odrzekł Bolski równie cicho. — Cała ta rzecz stała się tak prędko i niespodziewanie, że jeszcze nie mogę ochłonąć. Śpię sobie spokojnie, nagle puka ktoś do okna i woła:

— Obudź się kochany Bolski!

— Poznałem natychmiast głos hrabiego, wyskoczyłem z łóżka, zapalam świecę i patrzę na niego, jak na ducha. Twarz blada, jak śmierć, oczy dziko mu błyszczą — ach, jak on okropnie wyglądał!

— Panie hrabio! — zawołałem, — co się stało? czy jakie nieszczęście....

— Nie pytaj o nic, tylko powiedz, czy pójdziesz ze mną?

— Z panem hrabią, teraz, w nocy?

— Słońce wnet zejdzie! Ubieraj się i pójdź!

Nie namyślałem się naturalnie ani chwili! Ubrałem się w przeciągu kilku minut i otóż jestem!

— Hrabia nic panu po drodze nie mówił? — zapytał Fried po chwili.

— Nie, szedł zamyślony i milczący aż do pana domu, gdzie tak samo cię zbudził jak mnie, ale domyśliłem się zaraz, że chodzi tu o pojedynek.

— Mianowicie, gdy powiedział, że mam zabrać pudło z instrumentami chirurgicznemi. Ja też poznałem, że albo idziemy do chorego, albo — że hrabia ma pojedynek.

Bolski nie mógł już dłużej powstrzymać swego niepokoju. Zbliżył się więc teraz do hrabiego i rzekł nieśmiało:

— Czemu kazałeś nam przyjść tutaj? Ach, panie hrabio, doktor Fried i ja obawiamy się, że — że.....

Dernburg podał rękę jednemu i drugiemu i uśmiechnął się smutnie.

— Dziękuję wam za wasze przywiązanie, — odrzekł, wiem, że mnie kochacie, mam do was nieograniczone zaufanie i dla tego zabrałem was z sobą, abyście byli świadkami ostatniego aktu krwawej tragedyi.....

— [illegible]gedyi? — zawołał, Fried przerażony. — I to [illegible] w niej udział?

— [illegible]! Nie myśleliście pewnie obydwaj, że po [illegible] szczęściu nastąpi takie nieszczęście! Ale [illegible]ka, koło toczy się, raz jest na stronie czarnej, [illegible] na stronie czerwonej. Wszystko jest grą, [illegible] hazardem, jeden wygrywa, drugi przegrywa, jeden [illegible], drugi jest żebrakiem.

— Panie hrabio, — szepnął Bolski, — co znaczą te słowa pełne goryczy? Co się stało, od wczoraj? Wszakże miałem zaszczyt widzenia pana hrabiego wczoraj wieczorem.....

— Ah, mówisz o czasie, z którym mnie już wieczność cała dzieli! Wczoraj byłem panem, bogaczem, dziś jestem żebrakiem!

— Jakto? — spytał Bolski zdumiony.

— Wczoraj byłem szczęśliwym nad wyraz, dziś jestem w rozpaczy! Upokorzono, znieważono, shańbiono mnie!

— Muszę się szczerze przyznać, — rzekł Fried, — że nie rozumiem pana hrabiego! O, miej pan zaufanie do nas, powiedz nam otwarcie o co chodzi, a my będziemy może.....

— Owszem, powiem, co się stało! — przerwał hrabia ponuro. — Będziecie świadkami pojedynku, który zakończy się albo moją albo mego przeciwnika śmiercią.

— Ależ to grzech śmiertelny, — zawołał Bolski. — I zresztą taki człowiek, jak pan hrabia, dobroczyńca swoich podwładnych, opiekun całej okolicy, nie powinien wystawiać się na takie niebezpieczeństwo. Życie pana hrabiego zbyt jest drogiem i kosztownem dla tysięcy ludzi!

Ale mnie honor jest droższym, odrzekł Dernburg.

— Któżby śmiał znieważyć pana hrabiego?

— Moja żona i jej kochanek!

— Nie może być! — zawołali Bolski i Fried jednogłośnie.

— A jednak tak jest! Przekonałem się sam! Widziałem i słyszałem... Nie pojmuję wprawdzie, dla czego ona to uczyniła, dlaczego dała mi najwyższe szczęście ,aby potem pogrążyć w rozpaczy!

Bolski i Fried słuchali, nie dowierzając własnym uszom.

Więc to o Fedorę chodziło, o ową kobietę, którą wszyscy uważali za wzór cnoty i wszelkich dobrych przymiotów! I teraz poznali też, że hrabia za nic w świecie nie odstąpi od pojedynku, i że jeden z przeciwników musi zginąć.

W oczach Bolskiego błysnęły łzy.

— Ach, panie hrabio, — zawołał nagle — może to omyłka, nieporozumienie, może się jeszcze wszystko wyjaśni...

— Nie! Proszę już wogóle o tem nie mówić, muszę być spokojnym, a każde takie wspomnienie .drażni mnie okropnie!

— Milczę już — odrzekł Bolski i cofnął się natychmiast.

W tejże chwili ukazał się pomiędzy drzewami książe Adam.

Bolski i Fried ciekawie patrzyli na niego, nie spotkali go bowiem nigdy jeszcze i nie wiedzieli kto to jest właściwie.

Fried pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej i sympatyczniejszej twarzy, a chociaż powinien był uczuwać nienawiść do tego nieznajomego jako do przeciwnika hrabiego to jednak nie mógł się oprzeć mimowolnemu pociągowi, jaki się w sercu jego zbudził dla pięknego młodzieńca.

Książe Adam ukłonił się grzecznie, hrabia udawał, że nie widzi tego.

— Służę panu — odezwał się książę — możemy zaczynać.

— Natychmiast! Przyniosłem wszystko, czego nam potrzeba.

I hrabia wyciągnął z pod płaszcza dwie równe szpady. Potem wręczył je Bolskiemu z poleceniem, aby podał przeciwnikowi obie do wyboru.

— Spiesz się pan — dodał, — rzecz bardzo prosta, — każdy z nas bierze szpadę — zaczynajmy!

Książe wziął broń, nie patrząc na nią, i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie.

— Zaczynajmy! — nalegał hrabia.

— Zaraz, proszę tylko o jednę minutę czasu — odrzekł książę.

— Dobrze!

— Dziękuję panu. Minuty tej chcę zużyć na to, że wobec obydwóch tych panów, których nie znam wprawdzie, ale których uważam za ludzi szlachetnych i uczciwych, wyjaśnię, że pojedynek ten jest wynikiem omyłki i nieporozumienia, bo przysięgam na Boga Wszechmogącego, że.....

— Że pan łotrem jesteś — krzyknął hrabia w najwyższem uniesieniu.

Książe zadrżał.

— Teraz jest pojedynek nieuniknionym — rzekł. — Tego wybaczyć nie mogę! Zaczynajmy!

Przeciwnicy podnieśli szpady i uderzyli na siebie.

Hrabia rzucił się jak szalony, ale książe odbił szybko jego uderzenie.

I znów stal zadźwiękła, obydwaj przeciwnicy walczyli z taką zaciekłością, że widocznem było, jak gorąco pragnie jeden drugiego zabić. Książe i hrabia równie dzielnymi byli szermierzami, znali wybornie sztukę walczenia na szpady, ale książe był spokojniejszy i dla tego szanse zwycięstwa więcej po jego były stronie.

Hrabia zaczepiał ciągle z niezmierną gwałtownością i nagle wydał lekki okrzyk tryumfu, z lepszego ramienia przeciwnika zaczęła spływać krew. Książe zbladł nieco — hrabia spuścił szpadę.

— Pan jesteś ranny — rzekł krótko.

Myślał może, że książe nie będzie chciał walczyć dalej, i na myśl o tem zaczął się już na nowo unosić gniewem.

Ale Adam uśmiechnął się tylko.

— Ta rana nic nie znaczy — odpowiedział. — Jeżeli pan sobie życzy — zaczynajmy!

— Czy ja sobie tego życzę! — szepnął hrabia.

Tym razem zaczepił książe hrabiego i to tak gwałtownie, że hrabia zachwiał się. Ale potem do dawnego wrócili porządku — Dernburg zaczepiał a książe bronił się tylko.

Hrabia celował nieustannie ostrzem szpady na serce księcia i tylko dzięki swej mistrzowskiej obronie zdołał książe pewnej uniknąć śmierci.

W końcu użył hrabia dozwolonego w tej walce podstępu: wymierzył cios na głowę przeciwnika, zmuszając go do zasłonięcia się, a w rzeczywistości chciał uderzyć w serce. Ale książe poznał się na tem i odparł z niezrównaną szybkością obydwa ciosy.

Dzielna ta obrona doprowadziła hrabiego do takiej wściekłości, że tracąc zupełnie zimną krew, rzucał się jak szalony i walczył tak zawzięcie, że książe ledwie uderzenia jego odpierać zdołał.

I pojedynek ten skończył się tak, jak się skończyć musiał. Hrabia zaślepiony namiętną nienawiścią nie zważając na nic, pośliznął się i upadł tak nieszczęśliwie, że ostrze szpady księcia przeszyło mu pierś.

Książe śmiertelnie był przerażony, ale jego winą to nie było.

Zbroczony krwią, leżał hrabia nieprzytomny na ziemi.

— Panie hrabio, — wołał Bolski, — jesteś ranionym...

— I to nawet bardzo ciężko, — odrzekł książę. — Panie doktorze, zajmij się rannym!

Fried klęczał już obok hrabiego, i wyjmował ostrożnie okrutną stal z rany. Zaraz potem trysnęła krew strumieniem i zbroczyła śnieg, Dernburg leżał, jak martwy.

— On umiera, — krzyknął Bolski — ratuj go doktorze!

— Serce uderza jeszcze, słabo wprawdzie, ale uderza, a to zawsze jeszcze daje odrobinę nadziei.

Potem obmył czemprędzej ranę i owiązał ją. Krew przestała płynąć.

Ale teraz stało się coś, na co nikt z obecnych przygotowanym nie był.

Z jaskini, wypadła nagle Fedora i z okrzykiem rozpaczy rzuciła się na kolana obok ciężko rannego męża.

— Hrabina! — szepnął Bolski.

— Herbercie, mężu najdroższy! — szeptała Fedora unosząc lekko głowę hrabiego, — o Boże, on cię zabił! Jaka okropna omyłka, jakie okropne nieporozumienie stało się przyczyną twej śmierci, i to wszystko z mej przyczyny! Ale Bóg mi świadkiem, że jestem niewinna, że nie mogłam przeczuwać, co z tego wyniknie! Ja nie zdradziłam mego męża, — dodała, zwracając się do Bolskiego i Frieda, — kochałam go szczerze i wierną mu byłam żoną! Ale świat nie uwierzy mi, uzna mnie za podłą i zdradziecką kobietę! Powiedz mi doktorze, czy on już nieżyje?



Dzielna ta obrona doprowadziła hrabiego do takiej wściekłości, że tracąc zupełnie zimną krew, rzucał się jak szalony i walczył tak zawzięcie, że książę ledwie uderzenia jego odpierać zdołał.

— Obecnie — żyje!

— Ach, dzięki Bogu! I będzie żył — wyleczysz go pan?

— Tego nie wiem! Nie mogę powiedzieć, czy pan hrabia stanie się ofiarą tego pojedynku, czy też wyzdrowieje.... Nie przekonałem się jeszcze, bo to jest niemożliwem, czy rana jest śmiertelna, czy też zeszła się, nie zraniwszy szlachetniejszych organów.... W każdym razie bardzo jest głęboka!

— Ja będę go pielęgnować, — zawołała Fedora, — pomóżcie mi go przenieść do domu! Nie oddalę się ani na krok od jego łóżka, dniem i nocą czuwać będę nad nim, wszakże jego życie jest mojem życiem! Spieszcie się, biegnijcie po nosze lub po karetę.....

— Ale ja nie wiem, — odezwał się Bolski, — czy pan hrabia zgodzi się na to, aby go pani hrabina pielęgnowała. Może widok jej zanadto by go wzruszył....

— Ah, więc mój mąż powiedział wam, że pojedynek odbył się z mojego powodu! Dobrze! Jestem zbyt dumną, aby się wobec was uniewinniać — pielęgnujcie go — ja się od wszystkiego dobrowolnie usuwam! To jedno tylko powiedzcie mu, gdy odzyska przytomność, że jestem niewinną! Będzie to ostatnia wiadomość o mnie!

Fedora wstała, książę zbliżył się do niej.

— Podaj mi pani rękę, — rzekł, — musimy odejść ztąd.

Ale ona spojrzała na niego i cofnęła się żywo.

— Nie, — zawołała, — tyś mi go zabił, książę Starzycki, ja z tobą iść nie mogę! Tutaj dzielą się nasze drogi! Idź pan sam, ja nie mogę dotknąć ręki, która krew jego przelała!

— Mylisz się pani, — odrzekł książę poważnie, — moja ręka jest czystą! Krew twego męża nie zbroczyła jej! Nieszczęśliwy przypadek pokierował moją szpadą, ja hrabiego zranić nie chciałem! Pani stoisz sama na świecie, mąż odepchnął cię, wszystkie więzy, łączące cię z nim, są zerwane. Jesteś samą i opuszczoną — nie odpychaj mojej pomocy! Pozwól mi opiekować się tobą! Oboje jesteśmy nieszczęśliwymi wygnańcami!

Ale Fedora pozostała niewzruszona.

— Dziękuję panu, — szepnęła, — za wszystko, co mi ofiarujesz, ale ja muszę strzedz mej dobrej sławy. Mój mąż uważa mnie za niewierną i upadłą kobietę, muszę mu więc donieść, że nie zasługuje na takie mniemanie. Co zrobię, dokąd się udam, jaką będzie moja przyszłość, tego nie wiem. Żegnam cię książę! Niech cię Bóg wspiera na ciemnej drodze twego życia, niech ci pomoże znieść cierpienia i troski!

Książę Adam spojrzał milcząc, raz jeszcze na tę, którą kochał tak gorąco, pożegnał skinieniem głowy Frieda i Bolskiego, i zniknął pomiędzy drzewami.

Fedora raz jeszcze pochyliła się nad nieprzytomnym mężem.

— Nie mam już prawa do ciebie, — szepnęła ze łzami, — odchodzę więc, aby nigdy nie wrócić. Niech ci Bóg wybaczy, że odtrąciłeś od siebie najwierniejsze serce, że uwierzyłeś innym, nie chcąc wcale wysłuchać mego uniewinnienia się. Uważałeś mnie za niewierną i fałszywą — ja ci wszystko wybaczam!

Po tych słowach ucałowała gorąco bladą twarz hrabiego i odeszła.

Fried i Bolski głęboko byli wzruszeni i poznali, że hrabia poświęcił żonę i siebie jakiejś okropnej omyłce, i że wyrządził ciężką krzywdę najlepszej i najszlachetniejszej kobiecie.

— Zdaje mi się, — rzekł teraz Bolski, — że my jej nigdy już nie zobaczymy!

Fried wzruszył ramionami.

— A ja sądzę, — odpowiedział, — że bylibyśmy rozsądniej uczynili, zostawiając ją przy mężu. Kto wie, czy obecność jej nie byłaby najlepszem dla niego lekarstwem! Hrabia jest ciężko ranny, niebezpieczeństwo grozi mu.....

— Więc nie ma wiele nadziei? — zawołał Bolski przerażony.

— Wiele — nie! Ale to natura silna, może przetrzyma! Idź pan teraz do wsi i przyślij ludzi z noszami — trzeba go przenieść ostrożnie, aby jak najmniej doznał wstrząśnienia.

Bolski nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć, puścił się pędem do zamku i po upływie pół godziny przyniesiono nosze, na których złożono jak najostrożniej nieprzytomnego hrabiego. Potem ruszył smutny orszak z powrotem do domu, a lisia jama była znowu cicha i opuszczona.

Dwojaka krew płynęła dziś w lesie — krew złego i dobrego człowieka, a wszystko to pokrył śnieg tak, że żadnego z dramatów tych nie pozostało śladu.

ROZDZIAŁ LX.

Podziemny skarbiec.

Przez całe dwadzieścia i cztery godzin pozostał Bondi w nieświadomości tego, gdzie się znajduje, dokąd go przyprowadzono. Zadawał on sobie nieustannie pytanie, w jakim albo w czyim domu leży ten sklep, w którym go zamknięto, i kto jest tym kapitanem rozbójników, który go zna i który nadaje sobie prawo sądzenia i karania ludzi.

Czemu rozbójnik ów nienawidził go tak strasznie, czemu chciał go jeszcze surowiej ukarać, niż leśniczego Horna?

— Czy ja go już kiedy w życiu spotkałem, — myślał — czy wyrządziłem mu co złego, że on chce się na mnie tak pomścić?

Ale odpowiedzi na to nie było.

Bondi wiedział tylko tyle, że znajduje się w sklepie, prastarego domu, ponieważ mury te stały widocznie już parę set lat.

Gdy się nieco rozjaśniło, obejrzał dokładnie drzwi i poznał, że są ogromnie mocne, dębowe, okute w żelazo, i że niemożliwem byłoby wyłamać je. Co do zamku zaś, to należał

on do tych czasów, w których ślusarze starali się o jak najwięcej skomplikowane zamki i klucze, uważając to za najwyższą sztukę.

Więc i drzwi były najmniej dwieście lat stare.

Sklep innego już wyjścia nie miał, okna też nie było, a że muru kamiennego nie szło przebić, przeto o ucieczce ztąd mowy być nie mogło. Bondi był zupełnie zależny od łaski rozbójnika i w całem znaczeniu tego słowa, bezsilnym. Na myśl o tem ogarnął go wściekły gniew i Bondi o mało że sobie życia nie odebrał. Bo gdy sobie uprzytomnił wyrok, jaki rozbójnik na niego wydał, to włosy stawały mu na głowie i krew lodem się ścinała.

Był on świadkiem okropnej śmierci, jaką umarł leśniczy i nie życzył sobie wcale ginąć w podobny sposób.

Nieopisany strach ogarnął całą jego istotę — drżał na najmniejszy szelest za drzwiami, wiedział bowiem, że kapitan może go każdej chwili wyprowadzić ztąd i ukarać na śmierć męczeńską.

Ale po tem przypomniał sobie, że kapitan mówił, że tylko w nocy sądzić go będzie, a teraz musiał jasny być dzień, bo przez szczeliny w murach i drzwiach dosyć tu światła wpadało.

Nagle otworzyły się one ciężkie drzwi, i do sklepu wszedł zamaskowany mężczyzna.

Bondi poznał jednak zaraz, że to nie był kapitan.

Rozbójnik przyniósł mu śniadanie i postawił je na ziemi.

Piękne śniadanie, chleb suchy i woda!

— Zostań tu na chwilę, — prosił Bondi, — zostań, błagam!

Opryszek stanął przy drzwiach.

— Gdzie ja jestem?

Na to żadnej nie otrzymał odpowiedzi.

— Do kogo należy ten dom?

Szyderczy uśmiech przesunął się przez usta milczącego zbójnika.

Potem drzwi się zamknęły i Bondi został sam.

Ponieważ był głodny i spragniony, przeto zjadł kawałek chleba i wypił trochę wody, ale ani jedno ani drugie nie smakowało mu wcale. Że zaś cleb był czarny, osądził Bondi, że dom ten należy do człowieka bardzo skromnego, i nie znającego wybornych potraw. Ale może pan domu jadł inny chleb!

Po śniadaniu zabrał się więzień do oglądania ścian, chcąc znaleść jakąś, chociażby najmniejszą nadzieję ucieczki, ale nie znalazł nic, coby go pocieszyć mogło. Na zamku tylko przy drzwiach odkrył kilka liczb, wyrytych w żelazo, był to zapewne rok, w którym dom ten wybudowanym został, liczby bowiem były 1577. Więc dom stał już prawie dwieście pięćdziesiąt lat — ale nie mógł to być w takim razie zwyczajny dom, tylko zamek jakiś!

Było to przynajmniej pewne wyjaśnienie!

I Bondi zaczął zaraz wyliczać tych, którzy w tej okolicy zamki posiadali. Było to jednak dosyć trudną rzeczą, bo wówczas dosyć dużo szlachty budowało sobie w górach domy, pałace i zamki, i to z powodu lasów, w których odbywały się ogromne polowania.

Ale żadnego z nich nie posądzał Bondi o to, aby był rozbójnikiem, przed którym drżała cała okolica.

Bądź jak bądź, postanowił Bondi spamiętać sobie tę liczbę. Gdyby mu szczęście posłużyło, gdyby zdołał wyjść żywy z tego więzienia, to mógłby się łatwo potem dowiedzieć, czyj zamek był onego roku budowany.

Ale widoki na ocalenie były bardzo liche — a raczej wcale ich nie było!

Godziny mijały, jedna za drugą, Bondi siedział na ziemi i myślał, nie mogąc nic już wymyślić.

Około południa wszedł znowu zamaskowany opryszek i przyniósł więźniowi obiad — składający się znów z chleba i wody.

— Przeklęty rozbójnik, — szepnął Bondi, — — jeżeli tak dłużej żywić mnie będzie, to umrę z głodu! Wtenczas nie potrzebuje mnie już zabijać. Może on chce mnie zagłodzić!

Pomimo to zjadł znowu chleb i wypił wodę z blaszanego kubka, ale potem jednak wpadł w taką złość, że porwał ów kubek, i rzucił go z całej siły o ścianę.

Ale cóż to?

Tam, gdzie kubek uderzył o ścianę, dał się słyszeć dziwny jakiś, głuchy odgłos — tam nie był mur tak grubym, jak w innych miejscach.

Bondi zerwał się, wziął kubek i rzucił go po raz drugi.

I znów zabrzmiało tak samo.....

Teraz zbliżył się do ściany i zaczął pukać, a twarz jego zwycięskim rozjaśniła się uśmiechem. Przekonał się bowiem, że mur był w jednem miejscu zupełnie cienki i to na trzy stopy szerokości i na sześć stóp wysokości. Można to było sprawdzić zupełnie dokładnie! —

Więc tutaj musiał się bezwątpienia znajdować jakiś tajemny ganek. Ale wejście do tego ganku było zalepione wapnem i to grubym pokładem, tak, aby nikt się otworu domyślać nie mógł.

Ale mniejsze o to!

Bondi zabrał się natychmiast do roboty, to jest do odskrobania wapna, mówiąc sobie, że tu jedyną znaleść może drogę do ucieczki. Wszakże chodziło o jego życie!

Ale trzeba mu się było spieszyć — do wieczora kilka mu tylko pozostawało godzin.

I rozpacz sił mu dodała.

Blaszany kubek służył mu za narzędzie, którem zaczął wapno zeskrobywać. Pracował zaś prędko i z energią, jaką tylko strach śmierci dodać może.

Wapno było kruche i łamało się bardzo łatwo.

Nagle krzyknął Bondi uradowany — przełamał bowiem w jednem miejscu cienką warstwę gliny i wapna, wsunął rękę w otwór i poczuł wyraźnie spruchniałe, wilgotne drzewo.

Teraz chodziło o to, aby powiększyć otwór i przejść przez niego. I znów zaczął kubkiem skrobać dalej, a blacha, doskonale już wyostrzona, jak najlepsze mu oddawała przysługi.

Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło, ręce drżały z zmęczenia, ale była to praca, od której zależało jego życie.

Po upływie trzech godzin było wszystko gotowe i drewniane drzwi całkiem odsłonięte.

Teraz usiłował je Bondi otworzyć. Całym ciężarem ciała rzucał się na nie, pchał, uderzał pięściami, ale nic mu to nie pomogło. Najgorsze że drzwi te nie miały zamka, składały się one z jednej, widocznie bardzo grubej i mocnej płyty drewnianej, stawiającej opór wszystkim jego usiłowaniom wyłamania jej.

Bondi popadł w rozpacz.

— Tak daleko już zaszedłem, — krzyknął, — a ten nędzny kawał drzewa stoi mi w drodze do wolności! Ach, czemu nie mogę rękami mojemi zmiażdżyć tych drzwi!

I teraz zauważył nagle sieć pajęczą w jednym kącie, wyciągnął więc szybko rękę, aby ją zerwać, myśląc, że pod nią może znajduje się jaki ukryty zamek. Ale któż opisze jego zdumienie, gdy się przekonał, że pajęczyna ta była namalowaną! Odkrycie to ucieszyło go niezmiernie — przypomniał sobie, że czytał raz w jakiejś starej kronice o podobnej siatce pajęczej na drzwiach, ukrywającej w sobie tajemną sprężynę, która drzwi te otwierała.

Ten, kto znał tajemnicę ukrytej sprężyny wiedział, jakich dotknąć nitek pajęczyny. Bondi policzył je, a nie było ich mało, wyliczył bowiem aż 573.

Które z nich stały w związku z sprężyną, otwierającą drzwi?

Bondi nie tracił odwagi.

Najpierw zaczął naciskać jednę nitkę po drugiej, przesuwając palcem od początku do końca, ale drzwi się ani nie ruszyły. Potem naciskał dwie lub trzy naraz, ale w takiej ogromnej ilości nie łatwo było znaleść te, o które mu tak bardzo chodziło.

Bondi szalał ze złości. Stać przed ratunkiem, i nie módz go pochwycić!

Uniesiony rozpaczą zaczął biegać po swem, dosyć obszernem więzieniu i nagle stanął przed wielkiemi drzwiami, któremi go tu przyprowadzono.

I teraz domyślił się wszystkiego!

Liczby wyryte na zamku w wielkich drzwiach wskazywały nitki sieci, było to zupełnie jasnem! Jeżeli go jednak i ta nadzieja zawiedzie.....

Jak szalony rzucił się ku tajemniczym drzwiczkom i położył palce na pierwszej, piątej, siódmej i trzeciej niteczce. Potem nacisnął je mocno.

Ale drzwi nie otworzyły się jeszcze.

Bondi płakał z złości.

— Jeszcze raz spróbuję, — zawołał, — a potem niech się dzieje co chce....

I nacisnął piętnastą i siedemdziesiątą trzecią nitkę.

Ah, Nareszcie!

W płycie drewnianej dał się słyszeć cichy szelest i drzwi otworzyły się!

Bondi wpadł pędem w otwór, nie zważając na nic. Gdyby za temi drzwiami znajdowała się przepaść, byłby w nią skoczył bez namysłu, byle uciekać z tego sklepu okropnego!

Ale gdy ubiegł z dziesięć kroków, zatrzymał się. Poznał, o ile ciemność mu na to pozwalała, że jest w wązkim, murowanym ganku.

Dokąd wiedzie ten ganek?

Czy do lasu lub do innej części zamku?

Bondi szedł teraz ostrożnie, wyciągając ręce i stawiając ostrożnie nogi. Obawiał się jednak jakiego sklepu i nagle — uderzył rzeczywiście nogą o jakiś stopień.

Ah, więc tu znowu były schody! Tylko że nie, jak się tego spodziewał, wiodące do góry, lecz na dół.

Nie mógł się przecież namyślać! Trzeba było próbować wszystkiego, aby się ztąd wydostać, do więzienia można było zawsze jeszcze wrócić.

Zeszedł więc na dół, licząc trzynaście stopni, a musiało tu być bardzo już pod ziemią, bo powietrze było wilgotne i przesiąkłe pleśnią. Bondi ledwie oddychać zdołał. Ciemno też tu było tak, że nie można było rozróżnić żadnego przedmiotu.

Teraz stanął na dole, schody skończyły się, ale nie wiedział, gdzie jest, czy w sklepie, czy w jakim kanale. I strach go ogarnął na myśl, że każdej chwili może wpaść w jaką podziemną wodę. Może było jednak lepiej zostać w więzieniu.

Ale nic — śmierć Horna zbyt żywo stała mu w pamięci! Nie, uciekać byle gdzie, byle nie być skazanym na śmierć przez tego okropnego rozbójnika!

Więc Bondi szedł dalej z wyciągniętemi rękami, i po chwili natrafił na ścianę przed sobą. Był to róg muru — a gdy go minął — stanął jak wryty.

Jasność dnia!

Bondi był tak zdumiony, że oparł się o mur, własnym nie dowierzając oczom. Ręce i nogi drżały mu jak we febrze, z czoła lał się pot — w ostatnich kilku godzinach za wiele doznał wzruszeń, za często zbyt blizkim był rozpaczy i nadziei. Nawet człowiek taki jak on posiadał nerwy!

Był on igraszką losu, ale teraz zdawało mu się, że osiągnął cel, że jest ocalony!

Najpierw więc obejrzał się uważnie. Znajdował on się głęboko wprawdzie pod ziemią, w pokoju nie wielkim, którego ściany wyłożone były białym marmurem, tak samo jak sufit sklepiony i posadzka.

Wspaniałe kolumny marmurowe powstrzymywały sklepienie, a wszystko to zdradzało rękę artysty pierwszorzędnego. Ale widać było, że wieki minęły, gdy dzieło to wykonanem zostało — zapewne ten, który budować kazał zamek w r. 1573, zażądał takiego marmurowego pokoju w głębi ziemi.

Ale w jakim celu?

Czy to miała być jaka kryjówka, albo więzienie dla jakiego księcia? Albo może świątynia w której odbywały się zakazane nabożeństwa?

Bondi nie umiał znaleść na to odpowiedzi, ale wzrok jego nie mógł się oderwać od tego bogactwa i przepychu, jaki tutaj panował. Mianowicie sufit z białego marmuru, z malowanemi na nim gwiazdami wyglądał zachwycająco. I znów usiłował Bondi odgadnąć, w czyim on się znajdował zamku, i kto był właścicielem tych podziemnych skarbów. Ach, skarbów!...

Teraz wiedział już, czem był ów marmurowy pokój! Otóż skarbcem!

Inaczej być nie mogło! Bo nie było tu ani krzesał, ani ławki, żadnego wogóle sprzętu — tylko pomiędzy dwiema kolumnami stała prosta, stara skrzynia, okuta w ogromne klamry żelazne!

I już chciwość zbudziła się w sercu barona!

Na myśl, że w skrzyni tej znajdzie złoto i drogie kamienie, ucieszył się tak niezmiernie, że zapomniał o śmierci i o rozbójniku — zapomniał o ucieczce i, o szukaniu wyjścia z tych podziemi. Rzucił się na skrzynią i objął ją obydwiema rękami.

— Wszystko to moje — krzyknął — może tu znajdę majątek — miliony! Właściciel zamku wcale pewnie nie wie, jakie tu skarby leżą — mnie los je dał, a więc moją są własnością!

I zerwawszy się znowu, zaczął biegać po wspaniałej, marmurowej posadzce.

— Niech mi kto powie, szeptał — że nieszczęście mi nie sprzyja! Jestem po prostu wybrańcem losu! Na to musiał mnie dowódzca rozbójników wziąść z sobą i wrzucić do więzienia, abym tu skarby odkrył! Wszystko to moją będzie własnością! Dam opryszkom jednę trzecią za to, aby mnie na wolność wypuścili — złoto wszelkie drzwi otwiera! A teraz dalej do roboty!

Bondi domyślił się zaraz, że i skrzynię otwiera jaka ukryta sprężyna, uklęknął więc koło niej i zaczął pilnie badać żelazne okucie.

I nie trwało też długo, a znalazł mały gwoździk, umieszczony pod lewą klamrą, za naciśnięciem zaś gwoździa, otworzyło się wieko skrzyni.

Bondi aż krzyknął z radości, tak łatwego zwycięstwa nie spodziewał się wcale!

— Teraz, hrabio Dernburg — myślał — nie będę już potrzebował twoich miljonów, sam będę miał dosyć bogactwa!

Potem pochwycił wieko obydwoma rękami i podniósł je do góry, ale zaledwie spojrzał na zawartość skrzyni, krzyknął przeraźliwie i odskoczył szybko, jak gdyby kto był go uderzył.

Nogi ugięły się pod nim, zdawało mu się, że upadnie. Stał tak długo z twarzą w rękach urkytą, i w końcu dopiero gdy nic śmiertelnej nie przerywało ciszy, odważył się o tyle aby spojrzeć w otwartą skrzynię i przekonać się, czy to, co tam widział, nie było snem!

Nie, to było rzeczywistością! Bondi zamykał oczy, otwierał je i widział zawsze to samo. Zamiast złota — były w skrzyni — głowy ludzkie!

Niektóre były już zupełnie bez ciała, na innych natomiast były jsezcze resztki skóry i włosów i oczy — okropne martwe trupie!

Widok ten był przerażający, nawet dla takiego jak Bondi człowieka. Drżał on poprostu ze strachu i nie mógł się przezwyciężyć, aby się zbliżyć do skrzyni. Jakie okropne spotkało go rozczarowanie! Zamiast pieniędzy, trupie głowy! I zdawało mu się, że głowy te mówią do niego:

— Chciałeś złota i majątku — patrz na nas — to jest koniec wszystkiego, co ziemskie. I my byliśmy takimi, jakim ty jesteś teraz, ty zaś będziesz takim, jakim my jesteśmy.

Włosy stanęły na głowie łotra. Przypomniała mu się groźba rozbójnika, śmierć Horna, odgłos strzałów... Ale chciwość przemogła strach!

Przyszło mu na myśl, że głowy te są tylko na wierzchu położone dla odstraszenia niepowołanych, i że pod niemi dopiero znajdują się skarby.

Ach, gdyby miał odwagę wyrzucenia wszystkich tych głów!

— Ej, co tam — rzekł sobie w duszy — przecież mnie nie ugryzą!

I zbierając całą odwagę, wyciągnął rękę i podniósł jednę z głów za włosy.

Głowa ta była gładko od szyi odciętą, a więc spadła bez wątpienia z ręki kata.

Bondi zdumiał! Co to miało znaczyć?

Nagle z pomiędzy kości wypadła kartka, Bondi podniósł ją i przeczytał:

— Książę Dymitr Zagajski, szlachetny obrońca Polski, ścięty dn. 17 Maja, r. 1826.

Teraz odzyskał Bondi całą przytomność umysłu. Rzucił głowę księcia, porwał inną, przewrócił ją i na kartce, włożonej także w środek, przeczytał:

— Hrabia Włodzimierz Jarczewski, ścięty w 19-tym roku życia. Kochał gorąco ojczyznę — umarł 25-go stycznia r. 1829.

Bondi poznał, że były to głowy wszystkich Polaków, ściętych z rozkazu cara i jego brata, Wielkiego księcia Konstantego. Umarli oni śmiercią męczeńską w obronie ojczyzny, a wierni ich towarzysze zebrali ich głowy i złożyli je tu, w wspólnym grobowcu.

Odkrycie to ucieszyło go niezmiernie, jeżeli nie znalazł złota, to odkrył jednak coś, co mogło mu wrócić łaski księcia i przynieść upragnioną świetną posadę.

O ucieczce zapomniał on już zupełnie, nie myśląc

wcale, że każda chwila może być ostatnią. Zapomniał o groźbie kapitana, o wyroku ,o śmierci....

Ośmielony już całkiem, przerzucał głowy, a raczej wyrzucał je z skrzyni, spodziewając się zawsze jeszcze czegoś nadzwyczajnego. I rzeczywiście, gdy wyrzucił ostatnią, ujrzał jakiś przedmiot, zakryty białym jedwabnym szalem, na którym złotem wyhaftowane widniały litery.

Bondi rozpoznał natychmiast pismo hebrajskie, a że w młodości zajmował się dużo rozmaitemi językami, przeto nie było mu trudnem przeczytać owe litery.

Ale słowo to brzmiało „Sadogóra,“ a więc nie było hebrejskiem!

Sadogóra!

Co to miało znaczyć? Tutaj nazwisko miasteczka galicyjskiego, które prawie całkiem przez żydów zamieszkanem było? Bondi wiedział też jeszcze, że tamtejszy rabin zwany był ogólnie „cudownym,“ dla swojej wielkiej mądrości i nauki!

Ale cóżby ten nadzwyczajny rabin miał mieć wspólnego z ową tajemniczą skrzynią? Czy był może szpiegiem Polaków, albo czy nazwisko „Sadogóra“ znaczyło coś innego? Może miało być słowem, po którem poznawali się spiskowcy, knujący zamachy na życie cara!

Bondi jednak nie namyślał się długo.

Szybkim ruchem zerwał jedwab i ujrzał wielką, skórzaną szkatułę, bardzo już starą, i zniszczoną.

— Więc się nie omyliłem, — szepnął, — w tem pudle są pieniądze!

Szkatuła ta była tak ciężką, że Bondi ledwie ją podnieść zdołał. Najpierw zamknął skrzynię, potem postawił na nią pudło.

Z otworzeniem jego nie wiele miał roboty — zamek był zwyczajny, i za pierwszem lekkiem naciśnięciem podniosło się wieko do góry.

Bondi znów krzyknął — to co ujrzał w pudle, było dla niego taką samą niespodzianką, jak owe trupie głowy.

Ale tym razem nie wyrażała twarz jego przerażenia — nie, teraz jaśniała twarz ta dziką, szaloną radością! Przez kilka minut nie zdołał się upamiętać — patrzał tylko ciągle na ten błyszczący, wspaniały przedmiot, leżący w skórzanem puzdrze, i nie mógł się nasycić widokiem kosztownych kamieni, jaśniejących tysiącem blasków promiennych.

Nareszcie, uniesiony namiętnym szałem, rzucił się na kolana i obejmując kosztowną zawartość szkatułki, szepnął przytłumionym głosem:

— *Korona polska! Prastara korona polska!*

Tak, to była owa korona królów polskich, o której wszyscy wówczas mówili, i której Rosyanie tak uporczywie szukali. Mówiono, że znajduje się ona w skarbcu wojennym polskim, napewno tego nikt jednak nie wiedział!

I dla tego utworzyły się rozmaite baśnie i legendy w około tej korony, która teraz, dziwnym zrządzeniem losu wpadła w ręce największego łotra.

Brylanty oraz inne drogie kamienie, jakiemi formalnie była osypaną, przedstawiały wartość kilku milionów!

ROZDZIAŁ LXI.

Polska korona.

Korona polska była jedną z najkosztowniejszych, jakie ówcześni posiadali królowie, a główną jej ozdobą był krzyż złożony z siedemnastu czarnych, ogromnych brylantów. Łączyło się zaś z początkiem i pochodzeniem tej korony następujące podanie:

— Gdy w roku 1292 wstąpił na tron Przemysław II., postanowiono go ukoronować jako króla. On sam pragnął gorąco tej godności i dla tego posłał zastępcę swego do Rzymu, aby prosić Ojca świętego o nadanie mu tytułu króla polskiego.

Na to poselstwo wybrał Przemysław swego najlepszego przyjaciela, młodego Jana z Żyrkowa, najpiękniejszego i najdzielniejszego rycerza, jaki był na jego dworze.

Zanim się wybrał w drogę do Rzymu, rzekł mu Przemysław:

— Jeżeli Ojciec święty prośby mej wysłucha i uzna mnie za godnego korony polskiej, to ty Janie, przywieziesz mi ją zaraz! Dowiedziałem się, że w Rzymie jest pewien mistrz w sztuce złotniczej, jakiego drugiego nie ma na świecie. Nazywa on się Pietro Rosetti — gdzie zaś mieszka, o tem dowiesz się tam łatwo. Weź z skarbca mego tyle pieniędzy, ile chcesz i każ mi zrobić koronę taką, jakiej żaden monarcha dotychczas jeszcze nie miał. Wspaniałość jej ma zaćmić wszystkie obecnie istniejące. Aby cię jednak w drodze złodzieje lub rozbójnicy nie napadli, co zresztą łatwo by się mogło zdarzyć, to przebierz się za kogo innego i przedewszystkiem strzeż twej tajemnicy. Nie powiadaj nikomu ani słowa o koronie! Bądź ostrożnym i sumiennym, a zasłużysz sobie na moją dozgonną wdzięczność. Gdy wrócisz, wynagrodzę cię hojnie, dam ci jedno województwo poznańskie i będziesz zawsze moim najmilszym, najlepszym przyjacielem i doradzcą.

Jan przysiągł wierność i zapewnił księcia, że albo mu przywiezie koronę, albo wcale już nie wróci. W razie gdyby Ojciec święty odmówił jego prośbie, zamierzał zabrane na koronę pieniądze odesłać księciu przez jakiego zaufanego sługę, sam zaś poszedłby w świat daleki, ale księciu jużby się na oczy nie pokazał.

Poszedł więc teraz do domu, aby przygotować wszystko do podróży.

Przedewszystkiem musiał, za radą księcia, pomyśleć o przebraniu się i po długiem rozważaniu uznał, że najlepiej będzie, wziąść strój podróżującego kupca, który jeździ po świecie z rozmaitemi towarami.

W tym celu obładował ośmnaście koni miechami zboża, w którem były ukryte złote pieniądze i tak wybrał się do Włoch, pod pozorem zawiezienia tam zboża. We Włoszech panowała właśnie w tym roku wielka bieda.



Korona polska! Prastara korona polska!

On sam zdjął z żalem swój piękny strój rycerski i ubrał się w szary, skromny kaftan kupca. Ale dla ostrożności zatrzymał na sobie koszulkę stalową i zaopatrzył się w broń wszelkiego rodzaju. Oprócz tego zabrał ośmiu uzbrojonych pachołków do koni i sześciu wiernych przyjaciół.

Wszyscy musieli jednak ubrać się tak, jak on, aby nikt nie poznał w nich rycerzy i wojowników.

Ale gdy wszystko już było gotowe do drogi, przypomniał sobie Jan, że jest jeszcze jedna osoba, bez której pożegnania on wyjechać nie może!

Osobą tą była Salomea, piękna dworzanka królowej, zwana ogólnie Salką. Jan kochał ją oddawna i wiedział, że nawzajem jest kochany.

I wobec tej najdroższej sercu jego dziewczyny nie mógł zachować tajemnicy, — wyjeżdżając w tak daleką podróż, musiał jej przecież powiedzieć, dokąd jedzie!

(Ciąg dalszy nastąpi).